

Marcin Łukasz Majewski

ORCID: 0000-0003-4483-6136

Brzeskie i piotrkowskie losy Tusneldy z Orzechowskich Zacierki (1919–2022). Wywiad.

Część I. W Brześciu nad Bugiem, Poznaniu i we Lwowie (1919–1940)

Wstęp

Tusnelda Zacierka z domu Orzechowska urodziła się 7 marca 1919 roku w niewielkiej, położonej ok. 30 km od Suczawy miejscowości Gura Humorului. U progu niepodległości Polski jako kilkumiesięczne dziecko wraz z rodzicami przeniosła się do Brześcia nad Bugiem, gdzie spędziła dzieciństwo i lata szkolne. Po zdaniu matury podjęła studia na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu i tam 1 września 1939 roku zastała ją wojna. Mimo bombardowań i chaosu, udało jej się bezpiecznie wrócić do Brześcia. Klęska Polski i inwazja sowiecka wywarły na niej ogromne wrażenie, a sam okupowany przez Sowieców Brześć zmienił się nie do poznania. Miasto stało się szare i pozbawione radości, z półek sklepowych bardzo szybko zaczęły znikać towary, a z ulic ludzie. Najpierw nieznanymi, dalecy sąsiedzi, później koledzy ojca, aż wreszcie bliscy przyjaciele i rodzina. Terror, masowe wywózki i nachalna sowiecka propaganda, głosząca uparcie tezę o „wyzwoleniu” oraz obecność szpicli, nakreślały w Brześciu psychozę strachu.

Atmosfera ciągłego strachu i lęk o ojca, który był zagrożony aresztowaniem, spowodowały, że wraz z całą rodziną postanowiła opuścić Brześć – jak się miało okazać – na zawsze. Razem z rodzicami

i młodszą siostrą Danusią wyjechali w rodzinne strony ojca, do znajdującego się pod okupacją niemiecką Piotrkowa Trybunalskiego. W mieście szybko się zaaklimatyzowała, zaczęła pracę w miejscowym szpitalu, zawarła nowe znajomości oraz włączyła się w nurt konspiracji.

Względny spokój dobiegł jednak końca jesienią 1944 roku, kiedy została aresztowana przez Gestapo i osadzona w obozie koncentracyjnym w Ravensbrück. Obóz udało jej się opuścić jeszcze przed kapitulacją III Rzeszy, dzięki staraniom Szwedzkiego Czerwonego Krzyża. Po zakończeniu wojny wróciła na przerwane wybuchem wojny studia medyczne i po ich ukończeniu kontynuowała pracę w piotrkowskim szpitalu. W latach 1960–1985 była ordynatorem Oddziału Chorób Wewnętrznych i po dziś dzień jest miło wspomiana przez dawnych kolegów i pacjentów. Za swą działalność i postawę została odznaczona Orderem Polonia Restituta, Złotym Krzyżem Zasługi oraz odznaczeniem za wzorową pracę w służbie zdrowia. Zmarła 28 stycznia 2022 roku w wieku 103 lat.

Prezentowany wywiad stanowi zapis siedmiu rozmów, które odbyłem z panią Tusneldą Zacierką na przełomie sierpnia i września 2011 roku. Sześć przeprowadziłem w Samodzielnym Szpitalu Wojewódzkim im. Mikołaja Kopernika w Piotrkowie Trybunalskim, ostatnią zaś w piotrkowskim mieszkaniu pani Tusneldy. W założeniu miał to być „wywiad rzeka” i dotyczyć także okresu po zakończeniu II wojny światowej – równie ciekawego, pełnego informacji i anegdot. Niestety, zamiaru tego nie udało się zrealizować. Pani Tusnelda Zacierka okazała się wspaniałym rozmówcą i gawędziarzem, pamiętającym wiele szczegółów ze swojego życia. Bez wątpienia była jedną z najbardziej niezwykłych osób, które dane mi było spotkać.

Marcin Łukasz Majewski

Wywiad

Marcin Łukasz Majewski (MLM): Pani życie było niezwykle burzliwe, ale zarazem barwne. Dorastała Pani w wolnej Polsce, przeżyła grozę sowieckiego terroru oraz niemieckiej okupacji. Ojczyzna, w której kładła Pani podwaliny pod dorosłe życie zażądała spełnienia najważniejszego obowiązku, jaki nakłada na każdego obywatela, czyli jej obrony. W czasie okupacji niemieckiej włączyła się Pani w nurt konspiracji Polski Podziemnej. Została Pani zesłana do obozu koncentracyjnego, a po wojnie do życia przyszło wrócić Pani w kompletnie zmienionej rzeczywistości.

Można powiedzieć, że niezwykłość Pani życia rozpoczęła się już w momencie narodzin, ponieważ choć urodziła się Pani w kraju europejskim, to w miejscowości, której nazwa brzmi dziś dla Polaków bardzo egzotycznie...

Tusnelda Zacierka (TZ): Urodziłam się w Rumunii w miejscowości Gura Humorului na północ od Czerniowiec będących w owym czasie dużym ośrodkiem Polaków. Tam się urodziłam i zostałam ochrzczona. Kiedy do Brześcia wkroczyli Sowiety (teraz już się przyzwyczaiłam mówić Rosjanie, ale wtedy to byli Sowiety) musiałam w czasie zorganizowanych przez nich „wyborów” okazać swoją metrykę urodzenia. Wtedy spolszczyłam nazwę Gura Humorului do Gura Humora. W miejscowości tej nie było aż tak wielu Rumunów, ale dużą grupę stanowili Niemcy. Nic zresztą dziwnego, ponieważ Bukowina to były podobnie jak Czerniowce czy nasz Lwów, Austro-Węgry. Byli też tam Ukraińcy, bardzo dużo Żydów i spora grupa Polaków.

MLM: Skąd pochodzili Pani rodzice i czym się zajmowali?

TZ: Moja mama urodziła się w Gura Humorului. Ponieważ ojciec mamy umarł bardzo wcześnie i w domu panowała straszna bieda, razem ze swoją siostrą wychowywała się prawie przez cały czas u rodziny w Czerniowcach. Mama miała tylko szkołę początkową i nie wiem czy coś więcej. Być może jakieś kursy. Miała natomiast bardzo ładny głos – chyba trochę szkolony i tam w Czerniowcach śpiewała w kościele Jezuitów. Mój ojciec natomiast pochodził z okolic Piotrkowa i z zawodu był ślusarzem, później w wolnej Polsce był kolejarzem.

MŁM: W jaki sposób Pani ojciec znalazł się w Rumunii?

TZ: Ojciec jeszcze przed I wojną światową był w wojsku rosyjskim. Ponieważ wybuchła wojna, jego pobyt w armii carskiej został przedłużony. Już na początku wojny trafił do drużyn kolejowych. Losy wojny zagoniły go aż do Gura Humorului. Żołnierze z jednostki ojca, w której było dużo Polaków, wiedzieli, że na Bukowinie mogą być dłużej, nawet do kilku tygodni. W końcu okazało się nawet, że byli tam kilka miesięcy. Ta grupa wojskowych polskiego pochodzenia szukała więc kwater u miejscowych Polaków i ojciec mój trafił do domu Rogalskich, gdzie były dwie panny – moja mama Maria i jej o półtora roku starsza siostra. Właśnie w tym domu ojciec poznał mamę. Zdaję się, że to od razu była wielka miłość. W maju 1918 roku pobrali się.

MŁM: Ma Pani piękne, a jednocześnie bardzo rzadkie imię. Przyznam się szczerze, że po raz pierwszy w życiu spotykam się z tym imieniem. Czy Pani rodzice mieli jakieś szczególne powody, nadając Pani imię tak nietypowe?

TZ: Ja żyję już tak długo i nie spotkałam jeszcze nikogo kto wcześniej spotkałby się z tym imieniem. Dawniej, kiedy załatwiałam jakieś sprawy urzędowe i mówiłam swoje imię, pytano mnie: „Przepraszam, jak, jak?” a nawet przekręcano je na różne sposoby, dlatego teraz kiedy załatwiam coś w urzędzie daję swój dowód, żeby nie przekręcano. Urodziłam się w marcu 1919 roku. Kiedy się urodziłam ojca nie było już w Gura Humora, ponieważ poszedł dalej z wojskiem. Mama nie wiedziała, czy ojciec żyje, a jeśli tak, to gdzie się znajduje. Musiała mnie jednak ochrzcić. Mama chciała mi nadać zwykajne imię – Jolanta, czy jakoś tak, ale imię wybrała moja chrzestna, którą znam tylko z fotografii, zresztą elegancka młoda kobieta. Ona koniecznie chciała Tusnelda, więc mama się zgodziła. Mama nie wiedziała dokładnie skąd to imię – Tusnelda, to Tusnelda! We mnie natomiast to imię zawsze budziło zainteresowanie, już w szkole się zastanawiałam nad jego pochodzeniem. W domu, jak i później w szkole wołali na mnie Tuśka. Czytałam nawet taką książkę dla młodzieży, której tytuł brzmiał *Córka Tuśki* czy jakoś tak. Ale to była Tuśka, nie Tusnelda. Potem w szkole miałam koleżankę Rosjanek Tuśkę – Natalię. W obozie poznałam także Tuśkę – Gustawę Wińkowską, więc zdrobnienie nie wyjaśniało pochodzenia mojego imienia.

W końcu jednak dowiedziałam się skąd to imię pochodzi. Jest taka książka Parnickiego *Aecjusz – ostatni Rzymianin* i tam księżniczka ostrogocka czy wizygocka Tusnelda wkraczała do Rzymu. Wobec tego wywnioskowałam, że to jest starogermańskie imię i później to się potwierdziło, kiedy kilka tygodni byłam u mojej ciotki w Kolonii. Mieszkałam w dzielnicy jeszcze nie peryferyjnej, ale nieco oddalonej od Śródmieścia. Podczas spaceru przez jakąś niewielką dzielnicę zobaczyłam na tabliczkach z nazwami ulic imiona jakichś książąt. Mąż mojej ciotki znał doskonale historię Kolonii i opowiadał mi kim byli ci książęta. Nagle na jednej z tabliczek zobaczyłam nazwę „Thusneldastrasse” przez „Th” – w ten sposób nawet moje imię zostało zapisane w metryce. Okazało się, że nazwa ulicy pochodzi od jakiejś niemieckiej księżniczki, która wkraczała kiedyś do miasta. Moim imieniem zainteresował się też syn pisarza Stanisława de Vincenza¹, pan Andrzej de Vincenz² – wykładowca slawistyki na uniwersytecie w Heidelbergu i Getyndze. Państwa de Vincenz poznałam w roku 1985, kiedy byłam po raz pierwszy po wojnie w Niemczech wraz z Fundacją Maksymiliana Kolbe zajmującą się byłymi więźniami obozów koncentracyjnych. Żona Andrzeja, pani Sylwia de Vincenz – wspaniała kobieta, niestety już nieżyjąca, opiekowała się nami, jako pilotka. Widocznie imię Tusnelda musiało być dość popularne w południowej części Polski, gdzieś w rejonach za Zaleszczykami i w północnej Rumunii, ponieważ pan Andrzej zwrócił uwagę żonie, że ja muszę pochodzić z rejonów Polski południowej albo nawet z Rumunii.

MŁM: Co było powodem wyjazdu do Polski?

Sama Polska! Ojciec bez względu na wszystko chciał wrócić do Polski. Bardzo szybko więc wrócił do Piotrkowa, gdzie był niecały rok. W dalszym ciągu chciał pracować na kolei, ale widocznie w Piotrkowie nie było aż takich możliwości zatrudnienia, natomiast dowiedział się, że na wschodzie kolej rozwija się i w związku z tym tam czekają na maszynistów. Dlatego ojciec wraz z żoną i małą wtedy córeczką pojechał do Brześcia nad Bugiem. Tam od razu

¹ Stanisław Vincenz (1888–1971) – prozaik i eseista, miłośnik Pokucia.

² Andrzej Vincenz (1922–2014) – profesor slawistyki na uniwersytetach w Heidelbergu i Getyndze, publicysta i pisarz.

zaczął pracować jako maszynista. Pracował aż do 1939 roku. Mama natomiast nie pracowała – zajmowała się wychowywaniem dzieci i domem. Zarabiał tylko ojciec. Na wschodzie nie było zbyt wielu maszynistów, dlatego bardzo dużo jeździł i na dość dalekich trasach – do Baranowicz, do Wilna, czasem nawet do Warszawy. Mieszkaliśmy w centrum przy ulicy Długiej 23, ojciec jednak chciał mieć własny dom i wybudował razem do spółki ze swoim bratem, który również pracował na kolei w Stołpcach – tuż nad granicą sowiecką, dosyć ładny drewniany parterowy dom przy ulicy Traugutta. Mama założyła przy nim piękny ogród. Nie znała się na tym, ale pomagał jej i uczył prowadzenia ogrodu kolega ojca. Mama miała tam nawet drzewa owocowe, te drzewka były jednak młode, na przykład brzoskwinia pierwsze owoce miała dopiero w 1939 roku, bardzo dojrzałe, bo to przecież było piękne lato i bardzo piękna jesień.

MŁM: Jak przedstawiało się to najbliższe środowisko w Brześciu w czasach Pani dzieciństwa?

TZ: W Brześciu było dużo Żydów. W Śródmieściu, gdzie początkowo mieszkałam, jedna z kamienic, była całkowicie przez nich zamieszkana. W dzieciństwie bawiłam się na podwórku z chłopakami, bo akurat nie było tam wtedy dziewczynek. Pamiętam grę w palanta – ja wiem dokładnie na czym to polega, bo jak dostałam taką piłkę palantową w udo to miałam granatowy wielki siniec, a ponieważ nie płakałam, chociaż to bardzo bolało, tylko grałam dalej, zdobyłam uznanie tych chłopaków dziewięcioletnio-, dziesięcioletnio-, jedenastoletnich.

Później była tam jedna dziewczynka. Pamiętam, że później bardzo długo miałam od niej kartkę świąteczną z życzeniami zadedykowaną „dla Tusi Ażychowskiej” – przez „ż”, także z Żydami się zupełnie dobrze żyło. Nigdy się nie mówiło jakoś negatywnie o Żydach. Chociaż w tym moim podwórku, gdzie bawiłam się z tą Żydówką, od której dostałam kartkę z życzeniami i tymi chłopakami, słyszałam czasem jak dorośli mówią czasem: „Ach, ci Żydzi!”. Jak coś się źle działo to na pewno winni Żydzi! Moi rodzice nigdy nie byli do Żydów uprzedzeni, ale moja ciocia była trochę antysemitką, ja nie wiem dlaczego.

MŁM: Miała Pani rodzeństwo?

TZ: Tak, młodszego o 2 lata brata Tadka i o 10 lat młodszą siostrę Danusię. Oboje urodzili się już w Brześciu. Mój brat miał bardzo

ciekawe życie, bo to był człowiek, który w wieku 18 lat wypłynął z Polski – to bardzo ciekawa historia. Początkowo brat mój chodził do Państwowego Gimnazjum Traugutta, do którego od IV klasy i ja uczęszczałam. Po VI klasie była tzw. „mała matura”. Mój brat nie chciał robić drugiej, a ponieważ interesował go handel i jakieś przemysłowe sprawy pojechał do Białegostoku, gdzie chciał skończyć dwuletnią Szkołę Handlową. W pociągu dowiedział się od kolegi, że Szkoła Morska w Gdyni ma nie tylko takie działy jak nawigacja, budowa maszyn czy inne jakieś wydziały techniczne, ale także wydział handlu zamorskiego i wiedzy o krajach zamorskich. Brat zainteresował się tą szkołą. Trudno było się tam co prawda dostać, niemniej zdał egzamin, który trwał trzy czy cztery dni. Wiedział wtedy, że 14 chłopców, którzy zdadzą egzamin zostanie zamustrowanych na statku. Wiedzieliśmy, że Tadek wypływa 29 lipca 1939 roku z Gdyni. Pierwszy rejs był do Ameryki Południowej. Ustaliliśmy z rodziną, że powitamy go w Gdyni, kiedy wróci, ale on już nie wrócił. Tadek był zachwycony. W czasie podróży do Ameryki wysłał do nas dwa listy. Pierwszy list wrzucił w Dunkierce, drugi w Dakarze w Zachodniej Afryce. W tych listach się zachwycał, pisał, że nie sądził, że tak szybko spełnią się jego marzenia o podróżach po całym świecie. Kiedy byli w Pernambuco zastała ich wojna i statek, którym płynęli nie mógł już powrócić do Polski, więc popłynęli do Anglii. Anglicy przewidywali, że wojna to nie będzie żaden blitzkrieg jak twierdzili Niemcy, tylko będzie trwała dłużej, dlatego też zorganizowali dwuletnią szkołę nawigacji, ponieważ tak jak chcieli mieć polskich pilotów, tak samo zależało im na marynarzach. Tadek początkowo chciał iść do lotnictwa, bo lotnictwo było wtedy przecież takie ciekawe, natomiast marynarzem nie bardzo chciał być. W lotnictwie był już nasz wujek, właściwie stryjek, ale my w domu mówiliśmy wujek, młodszy brat ojca Janek Orzechowski. Tadek odnalazł wujka i właśnie wujek powiedział mu, że „Jednego Orzechowskiego w lotnictwie starczy, ty lepiej zostań marynarzem, będziesz pływał, a jak zostaniesz prymusem tej szkoły to ja na prymicję przylecę z całym swoim dywizjonem”. Wujek Janek został zestrzelony w 1942 roku w czasie powrotu z bombardowania Hamburga – cała załoga zginęła. Pochowany został w Danii. Tadek natomiast skończył szkołę i został przyjęty na jeden z polskich statków towarowych i pływał w konwojach przez Atlantyck. Co ciekawe w jego papierach znalazłam listy z nagłówkiem hotelu na Islandii. Widocznie żeby ominąć U-booty, które strasznie przecież zatapiały płynące

statki, oni płynęli tą północną trasą, żeby je ominąć. Szczęśliwie Tadek nie zatonął, ale jakiś czas ich statek pływał po Morzu Śródziemnym i tam trafiła ich jakaś torpeda. Tadekowi nic się nie stało, ale jego bardzo dobry kolega miał po tym wypadku coś ze wzrokiem i nie mógł już więcej pływać. Po wojnie mój brat wahał się czy wrócić do Polski, a kontrakt na statku kończył mu się dopiero w 1947 roku. Zrywać kontraktu zupełnie się nie opłacało, ponieważ jak wypełniło się kontrakt do końca, to marynarka opłacała powrót w dowolne miejsce, które chciał. W domu były dwa obozy: ojciec uważał, że Tadek nie ma po co wracać, bo dla marynarzy nie ma żadnego zawodu, a jako dawny przedwojenny marynarz nie będzie mile widziany przez władze. Ojciec twierdził, że Tadek nie będzie miał tutaj pracy i w ogóle może w końcu trafić za kratki. Mama uważała, że nie będzie tak źle i chciała, by jej jedyny syn wrócił. W końcu Tadek postanowił pojechać do Anglii, zamustrować się na jakiś rejs do Gdyni czy Gdańska, sprawdzi jaka jest sytuacja i ewentualnie zostanie, ale Anglicy nie przyjmowali w tym czasie Polaków na swoje statki, a polskie statki też tam nie mogły przybijać. Dodatkowo dowiedział się od kolegi, który do Polski wrócił, że nie ma po co wracać do kraju, no więc gdzie teraz się osiedlić? Miał do wyboru dwa czy trzy miejsca. Zdecydował się osiedlić w Afryce Południowej, ale najpierw musiał jakoś z tej Anglii tam się dostać. Przez ostatnie dwa lata kontraktu Tadek pływał po Oceanie Indyjskim i wokół wysp Indonezji. Bazy miał w Indiach – w Bombaju, w Kalkucie, stamtąd wysyłał zresztą do nas listy. Kiedy jechał do Anglii jego znajomy w Indiach zapytał się go przed wyjazdem czy będzie w Londynie. Brat odpowiedział twierdząco. Ten znajomy mówi mu: „Jak będziesz w Londynie, to pozdrów mojego serdecznego przyjaciela. Masz tutaj butelkę dobrego koniaku i pozdrów go serdecznie. Ja mam tu zajęcia i sam nie mogę jechać”. Tadek spełnił tę prośbę i w czasie pobytu u tego serdecznego przyjaciela poznał pewnego człowieka, który bardzo dopytywał się Tadeka o to, czym zajmował się na morzu i jak pływał. Okazało się, że człowiek ten nazywa się Fliton, jest z Afryki, a do Anglii przyjechał kupić jacht. Miał sześćdziesiąt lat i choć chorował na chorobę morską, uwielbiał podróże jachtem, czego Tadek nie mógł zrozumieć, bo na jachcie jeszcze gorzej się choruje. Jak wysłuchał opowieści o tym co Tadek robił na morzu to powiedział mu, że planuje podróż dookoła świata na jachcie, który ma zamiar lada dzień kupić w Londynie i zbiera

teraz załogę, która jacht doprowadziłaby to Cape Town³, skąd wyprawa ma ruszyć. W końcu zapytał Tadek: „Czy podjąłby się Pan nawigacji na tym jachcie?”. Tadek oczywiście zgodził się, ponieważ na nawigacji znał się doskonale. Miał więc już bezpłatną podróż do Afryki.

Flitoń, który był jakimś przemysłowcem południowoafrykańskim i do tego człowiekiem bardzo majątnym, zaraz po powrocie do Afryki zaczął montować załogę na rejs dookoła świata. Tadekowi zaproponował, żeby został na tym jachcie szyprem, czyli kapitanem i to właśnie Tadek uczynił odpowiedzialnym za skompletowanie załogi. Powiedział przy tym Tadekowi: „Ja się nie spodziewam, by na tą podróż zdecydowali się prawdziwi marynarze, bo 2 lata rejsu to jest wyrwanie z życia”. Niemniej w kompletowaniu załogi pozostawił Tadekowi wolną rękę. Wspomniał jeszcze Tadekowi, że w Anglii zatrudnił lekarza, który zgodził się wziąć udział w podróży, ale po przepłynięciu kanału La Manche kazał wysadzić się w najbliższym porcie, bo miał już dosyć. Chodziło zatem, by znaleźć odpowiednich ludzi.

Tadek zmontował załogę, z tego co pamiętam chyba dziewięćosobową – wszyscy pełni zapału. Kiedy wypłynęli, dostawaliśmy od nich depesze z pozycją w jakiej się znajdują – podawali długość i szerokość geograficzną, a czasem miejsca i krótkie „all right” – wszystko w porządku. Brat zresztą z tej podróży też pisywał.

W czasie tej podróży śledziłam ich drogę na – jak to moje dzieci przekreślały – „golbusie”.

Wypłynęli z Cape Town – jest nawet taka fotografia tam wykonana przedstawiająca Tadeka za sterem. Popłynęli drogą przez Atlantyk, która była przecież już Tadekowi znana. Dotarli na Wyspę Wielkanocną – dostałam nawet od niego kartki z tymi dziwnymi rzeźbami, które się na tej wyspie znajdują. Przed Bożym Narodzeniem dopłynęli do Sydney – to była połowa ich drogi. Tadek pisał, że w Sydney będą co najmniej miesiąc, bo trzeba była odnawiać jacht, który był dość sfatygowany po roku podróży. W liście z Sydney napisał mi: „Cieszę się, że mam już stały ląd pod nogami, a nie pokład jachtu”. Zamieszkali u jakichś mieszkańców. W czasie pobytu w Australii miał w radiu cykl pogadarek odnośnie podróży. Tam spytał, czy jest możliwość, by dał jakoś znać o sobie swojej rodzinie w Polsce. Odpowiedziano

³ Kapsztad – stolica legislacyjna Republiki Południowej Afryki, w tamtym czasie stolica konstytucyjna Związku Południowej Afryki.

mu, że mogą nagrać płytę, którą on do Polski wyśle. Tadek nagrał się i płytę otrzymaliśmy, tu w Piotrkowie jednak nie mieliśmy jej na czym odtworzyć. Zdobyłam jakiś patefon i pamiętam doskonale jego pierwsze słowa: „Kochani...” – jego głos z tym, że ciekawe, że tam był jakiś pogłos jakby ktoś mu podpowiadał. Mówił dość krótko, ale opowiedział co się z nim teraz dzieje, wypytał o młodszą siostrę Danusię, pozdrawiał serdecznie nas wszystkich.

Tadek zamieszkał u jakichś znajomych w Sydney. Okazało się, że ci znajomi mają dwudziestoletniego syna, który koniecznie chciał wziąć udział w wyścigu Sydney – Hobart⁴. Te wyścigi odbywają się do dziś. Ojciec tego chłopca uzależnił swoją zgodę na jego udział w tym wyścigu od tego, czy popłynie z nim doświadczony marynarz. Tadek zgodził się popłynąć z tym chłopcem. Kiedy brat napisał mi, że bierze udział w tym wyścigu pomyślałam sobie: taki był szczęśliwy, że jest na stałym lądzie, a po dwóch, czy niecałych trzech tygodniach bierze udział w tym wyścigu, ale tłumaczył, że morze już go ciągnęło.

Poza tym później Tadek mi powiedział: „Wiesz jak się ten jacht nazywał, na którym braliśmy udział w tym wyścigu? Independence – Niepodległość”. To chyba też coś trochę o nim mówi, jakim był człowiekiem. W wyścigu brały udział różne klasy jachtów. Jacht, na którym płynął Tadek należał do klasy jachtów najmniejszych. Do Hobart dopłynęli bardzo szybko, w swojej klasie byli chyba nawet pierwsi, ale rejs w drugą stronę mógł się bardzo źle skończyć, dlatego, że niespodziewanie rozpełtała się gwałtowna burza, która zniosła ich i złamała maszt. Odcinek, na którym ich ta burza zastała był skalisty, na szczęście burza nie rzuciła ich na te skały, bo w przeciwnym razie nie byłoby nawet co zbierać. Dzięki Bogu ocaleni i po odszukaniu ich przez śmigłowce jeden z nich zabrał ich do brzegu.

Po wypłynięciu z Sydney Tadek pływał także koło Wysp Indonezji. Z jednej z małych wysp Tadek przysłał nawet zdjęcie, bo na jednej z tych maleńkich wysp była koronacja jakiejś królowej i załoga jachtu była zaproszona do stołu. Tam zrobili zdjęcie – siedzą na nim w kucki przy niskich dużych stołach wśród licznych gości na honorowych miejscach przy królowej.

⁴ Regaty Sydney – Hobart – słynne regaty żeglarskie organizowane od 1945 r., w których uczestnicy w bardzo trudnych warunkach nawigacyjnych pokonują odległość 60 mil morskich.

Byli również na wyspie Bali, którą chcieli zwiedzić. Brat pisał mi, a później jeszcze opowiadał, że tamtejsi ludzie są wyjątkowo pogodni, zadowoleni, jacyś tacy szczęśliwi, bardzo gościnni i przyjemni. Tadek wspominał zawsze, że „Raj to chyba był na wyspie Bali”. Wspominam o tym dlatego, że przecież tam był kilka lat temu ten straszny zamach, w którym zginęło ponad 200 osób m.in. polska dziennikarka⁵. Więc proszę sobie wyobrazić tę wspaniałą atmosferę, raj i taki straszny zamach.

Cała podróż dookoła świata trwała dwa lata. Tadek przyjechał po raz pierwszy od 1939 roku do Polski w latach sześćdziesiątych – częściej w sprawach służbowych. Na stałe osiadł w Afryce Południowej, tam też zmarł.

Natomiast moja młodsza o 10 lat siostra Danka uczęszczała do szkoły w Brześciu i nawet do dziś utrzymuje kontakt z dawnymi przyjaciółmi w Związku Zabuzan we Wrocławiu. Kiedy przyjechalśmy do Piotrkowa Danusia chodziła na tajne komplety i w ten sposób zaczęła naukę w gimnazjum. Maturę zdała w Zrzeszeniu⁶ już po wojnie w 1947 roku. Po maturze wyjechała na studia do Szczecina na Wyższej Szkole Ekonomicznej – teraz jest to już Akademia, po studiach natomiast wyjechała do naszej rodziny we Wrocławiu, bo tam znalazła pracę. We Wrocławiu wyszła za mąż i pracowała jako kierowniczka jakiegoś działu administracyjnego Politechniki Wrocławskiej. Choć młodsza ode mnie o 10 lat jest bardzo schorowana...

MŁM: Dom rodzinny to miejsce bardzo szczególne dla każdego człowieka. To w środowisku rodzinnym kształtowane są pierwsze i zarazem najważniejsze postawy. Jaka była atmosfera Pani domu rodzinnego?

TZ: Dzieciństwo moje było bardzo szczęśliwe. Miałam bardzo kochanego ojca, kochanego i bardzo nas kochającego. Kochał nas

⁵ Zamach na wyspie Bali miał miejsce 12 października 2002 r. W jego wyniku zginęły 202 osoby, w tym polska dziennikarka Beata Pawlak.

⁶ Humanistyczne Gimnazjum Żeńskie Zrzeszenia Nauczycieli Szkoły Średniej w Piotrkowie Trybunalskim. Polska szkoła średnia istniejąca w okresie międzywojennym, jako kontynuacja szkoły powołanej przez siostry Krzywickie w Piotrkowie Trybunalskim w 1856 r., istniejąca do dziś jako II Liceum Ogólnokształcące im. Marii Skłodowskiej-Curie, zob. Z. Bartczak, *II Liceum Ogólnokształcące im. Marii Skłodowskiej-Curie w Piotrkowie Trybunalskim*, Piotrków 800, Piotrków Trybunalski 2010.

wszystkich bardzo, a zwłaszcza tą najmłodszą Danusię, która jako dziecko bardzo często chorowała. Ojciec był bardzo pracowity, dużo pracował, ale zawsze o nas pamiętał. Z trasy zawsze nam przywoził różne rzeczy – jak był sezon na śliwki to przywoził nam węgierki, a z Wilna precelki – tam są bardzo charakterystyczne. Jak ojciec wracał do domu z pracy to bieглиśmy do jego toreb zobaczyć co dobrego przywiózł nam tym razem. Dom był bardzo przyjemny z pięknym ogrodem, w którym jesienią urządzaliśmy „bitwy” na pomidory. Mama bardzo nas kochała i dbała o nas. Zasadniczo to mama rządziła w domu, więc to był taki matriarchat. Pomimo że mama nie miała wykształcenia dość dobrze знаła języki – niemiecki znała znakomicie, co później nam się bardzo przydało i dość dużo umiała powiedzieć w jidysz. Niektórzy nawet myśleli, że to Żydówka, ponieważ kiedy mama szła na targ zagadywała w jidysz do handlujących Żydówek.

MŁM: Czy w Pani domu rodzinnym pielęgnowane były wartości patriotyczne?

TZ: Jeszcze w Rumunii, kiedy moja mama była dziewczynką i Sienkiewicz w roku 1905 dostał Nobla biegła ulicą z koleżanką, wymachując gazetą i krzycząc ze szczęścia, że Polak dostał Nagrodę Nobla. Takie szczęśliwe były z tego powodu! W domu atmosfera patriotyzmu była bardzo duża, podobnie zresztą w szkole.

MŁM: Dziś mówi się, że w Polsce istnieją dwa różne i niezależne od siebie patriotyzmy. W Polsce przedwojennej wydaje się natomiast, że patriotyzm był jeden, ale posiadał dwie odmiany: piłsudczykowską i endecką. Jakie przekonania polityczne panowały w Pani domu?

TZ: Ojciec i mama byli piłsudczykami, ale mama była piłsudczkiem zapalonym, więc przeżywała i przewrót majowy, i inne ważne wydarzenia. Ja natomiast te poglądy przejęłam od rodziców.

MŁM: Kolejnym ważnym środowiskiem kształtującym osobowość człowieka jest szkoła. W tamtych czasach wpływ szkoły na kształtowanie postaw młodych ludzi był bardzo znaczący. Jak Pani wspomina początki swojej edukacji?

TZ: Młodzież wtedy, jak i całe nauczycielstwo, była zupełnie inna niż teraz. Szkoła naprawdę wychowywała. Moje dzieciństwo

od samego początku było silnie ze szkołą związane. Zawsze lubiłam szkołę i do matury byłam z nią bardzo silnie związana. Zanim zaczęłam naukę w szkole chodziłam do freblówki. W Brześciu freblówkę prowadziła pani Gorska – nie wiem, czy to było jakoś subsydiowane przez państwo, czy prywatne. Z freblówki pamiętam tylko czerwone bereciki, które nosiłyśmy. Później rozpoczęłam naukę w szkole podstawowej – wtedy mówiło się szkole powszechnej i z tej szkoły, początków nauki mam wspaniałe, piękne wspomnienia. Kierowniczką szkoły, do której chodziłam była pani Helena Parymończyk. Dom pani Parymończyk był znanym w Brześciu domem. To była rodzina poważana i dość zamożna. Pani Helena miała dwie siostry – Wiktorię, która była dyrektorką od spraw dziewczyn w Gimnazjum Traugutta i jeszcze jedną siostrę, której imienia nie pamiętam. Wszystkie panie Parymończyk przyjechały po wojnie do Piotrkowa i mieszkały dość blisko mnie. Ja niestety dowiedziałam się o tym stosunkowo późno, ale jak tylko się dowiedziałam postanowiłam złożyć im wizytę. Pani Helena, którą doskonale pamiętałam, jako moją kierowniczkę ze szkoły powszechnej niestety już nie żyła. Lubiłam odwiedzać te panie, ponieważ doskonale się z nimi rozmawiało o bieżących sprawach politycznych i tych przeszłych. Pierwszej klasy szkoły powszechnej specjalnie nie pamiętam. Od początku uczyłam się dobrze i już w drugiej klasie musiałam mieć chyba dobrą dykcję, ponieważ pamiętam jakąś uroczystą akademię, nie pamiętam z jakiej okazji urządzoną, na której stałam na scenie. Cała sala była zaciemniona, tylko na scenę padało światło, a ja mówiłam wiersz o Ojczyźnie. Pamiętam jeden niewielki fragment tego wiersza – „hen poza granice” – mówiłam to wyraźnie, ale zamiast „c” mówiłam „cz” – za granicze. Mama, bardzo dumna ze mnie później wielokrotnie mi o tym opowiadała. Musiałam mieć już wtedy dobrą dykcję, bo pamiętam, że jak do Brześcia przyjechał jakiś biskup⁷ – nie pamiętam teraz jego nazwiska, ale ludzie mówili zawsze, że to jest prawdziwy kapłan, bardzo dobry człowiek, prawie święty – zostałam wybrana jako dziecko z Brześcia do powitania go. Na powitanie biskupa zostałam zaprowadzona przez moją nauczycielkę panią Czarnekową. Pamiętam, że później wpisała mi do pamiętnika, który prowadziłam tak jak wszystkie dziewczynki,

⁷ Ks. bp Zygmunt Łoziński (1870–1932) – polski duchowny katolicki, biskup piński w latach 1925–1932.

ponieważ było to wtedy bardzo modne – „Tusiu kochana, bądź jak najdłużej równie miłym dzieckiem”. Ten pamiętnik miałam bardzo długo i później w gimnazjum, a nawet jeszcze później do niego zaglądałam, aż w pewnym momencie sobie pomyślałam: ja trochę za długo byłam dzieckiem w tym sensie, że byłam zawsze szalenie ufna i dziecinnie otwarta. Oprócz biskupa witałam także jako dziecko Brześcia prezydenta Rzeczypospolitej Mościckiego. Pamiętam, że brama powitalna położona była dość daleko w kierunku twierdzy. Dla mnie i dla moich małych nóżek to było bardzo daleko. Szłam z przodu, a ze mną szła nauczycielka z bukietem kwiatów, który ja miałam wręczać panu prezydentowi. W pewnym momencie pani powiedziała do mnie: „Tusiu, gdybym miała więcej siły to bym cię wzięła na ręce”. Ludność Brześcia stała przy ulicy i witała prezydenta. Nie pamiętam już co mówiłam podczas tego powitania, ale powitanie prezydenta Mościckiego było pokazywane później w Kronice Filmowej w kinie. Moja mama poszła do kina razem ze swoją znajomą – nie wiem, czy tę kronikę akurat powtarzano, czy mamie po prostu udało się trafić, ale później ta znajoma mi opowiadała: „Wiesz Tusiu, że w pewnym momencie pani Orzechowska krzyczy na całe kino: Moja Tusia!”.

MŁM: Po ukończeniu szkoły powszechnej trzeba było podjąć decyzję o wyborze gimnazjum. Do którego gimnazjum Pani uczęszczała?

TZ: Kiedy poszłam do gimnazjum mieszkaliśmy jeszcze w Śródmieściu. Aż do trzeciej klasy włącznie chodziłam do Gimnazjum Macierzy. Tak na marginesie w Brześciu istniało też gimnazjum rosyjskie. Wydaje mi się nawet, że ta słynna aktorka Nina Andrycz, która pochodziła z Brześcia, musiała kończyć to rosyjskie gimnazjum. Wiele razy po wojnie bywałam w teatrze w Warszawie, więc widywałam ją na scenie, w filmach przecież także grała i bardzo ją w PRL honorowano, a ja nie mogłam znieść i darować jej tego rosyjskiego akcentu, z którym mówiła. Myślałam sobie: polska aktorka ciesząca się uznaniem, żeby mówiła z takim rosyjskim akcentem! Strasznie mnie to denerwowało. Ale to dygresja.

W gimnazjum zaprzyjaźniłam się z Marysią Wołoszynówną. Jej ojciec nie był wojskowym, ale pracował jako cywilny urzędnik w Twierdzy. Wiem, że jej nie przywożono do szkoły, tylko sama przychodziła z Twierdzy. W Twierdzy były dość duże wały, na których

na wiosnę było pełno kwiatów, zwłaszcza fiołków, które z Marysią zbierałyśmy. Do Macierzy chodziłam ulicą Unii Lubelskiej – bardzo długą ulicą i czas na dotarcie do szkoły zajmował dużo czasu – miałam do niej po prostu daleko, więc kiedy mama tylko się dowiedziała, że w Państwowym Gimnazjum Traugutta otworzono filię koedukacyjną od razu po trzeciej klasie mnie tam przeniosła, tym bardziej, że w tym czasie rodzice wybudowali już dom, więc odległość do szkoły zwiększyła się jeszcze bardziej. Po przeprowadzce już do Traugutta miałam daleko, a co dopiero do Macierzy. Żeby dostać się do nowej szkoły musiałam przechodzić przez tory. Brześć był dużą węzłową stacją, ale idąc naokoło musiałabym dodać sobie do pokonywanej drogi prawie 2 kilometry, więc choć nie wolno było, przechodziłam przez tory, nieraz nawet pomiędzy wagonami, co już było niebezpieczne. Dyrektor Macierzy, kiedy dowiedział się o przeniesieniu był bardzo zawiedziony. Pytał, czy mama nie może jakoś zorganizować wszystkiego tak, bym nadal mogła uczęszczać do jego szkoły. Należałam do dobrych uczennic, więc nic dziwnego, że dyrektorowi zależało na tym, aby mnie zostawić.

MŁM: Przeniosła się Pani do Państwowego Gimnazjum im. Traugutta. Co to była za szkoła? Jakie tradycje pielęgnowała?

TZ: Gimnazjum Traugutta nie miało aż tak bogatej tradycji jak piotrkowskie Gimnazjum Chrobrego⁸ czy Zrzeszenie, ale było starym gimnazjum dość solidnie zbudowanym. Szkoła posiadała piękną aulę, także scenę i bardzo obszerne korytarze – przynajmniej takie wydawały mi się wtedy, być może teraz nie wydawałyby mi się takie obszerne i ładne. W tym samym budynku znajdowała się Biblioteka Pedagogiczna z bardzo obszernym księgozbiorem. Młodzież także mogła korzystać z tej biblioteki, więc ja, już w starszych klasach spędzałam tam dużo czasu. Gimnazjum Traugutta było gimnazjum klasycznym – były w nim głównie klasy humanistyczne, ale była też

⁸ Gimnazjum Męskie im. Bolesława Chrobrego w Piotrkowie Trybunalskim. Polska szkoła średnia funkcjonująca w okresie międzywojennym będąca kontynuacją XIX-wiecznego Gimnazjum Rządowego oraz kolegium jezuickiego i pijarskie funkcjonującego od 1675 r. Będąc jedną z najstarszych szkół w Polsce, funkcjonuje do dziś jako I Liceum Ogólnokształcące im. Króla Bolesława Chrobrego, zob. Z. Bartczak, *Liceum Ogólnokształcące im. Bolesława Chrobrego w Piotrkowie Trybunalskim*, Piotrków 800, Piotrków Trybunalski 2005.

klasa matematyczno-przyrodnicza, w której byli zawsze chłopcy. To była trochę ekskluzywna klasa. Natomiast w mojej klasie było chyba około 22 uczniów. W klasie czwartej było czterech czy pięciu chłopaków, później tylko dwóch, a jeszcze później ani jednego – klasa stała się jedyną klasą żeńską w szkole. Nie wiem dlaczego akurat tak się złożyło, bo reszta klas była koedukacyjna.

MŁM: Jak zapamiętała Pani nauczycieli?

TZ: Oprócz pani Parymończyk, która była dyrektorką do spraw dziewcząt, doskonale pamiętam dyrektora. Nazywał się Nanowski. Twarz miał bez wyrazu, kamienną, bladą i w dodatku ze zdeformowanym okiem. Jego twarz napawała więc lękiem takie właściwie małe jeszcze dziesięcio-, czy jedenastoletnie dzieci. Z czwartej klasy zapamiętałam dobrze naszego polonistę pana Pecherskiego, który był autorem podręczników szkolnych, więc nie był to jakiś przeciętny nauczyciel. On wspaniale czytał nam fragmenty *Pana Tadeusza* Mickiewicza, ale najbardziej zapamiętałam, kiedy czytał nam *Ogniem i mieczem*. Robił to świetnie – czytał ze świetną dykcją, trochę modulował głos, wzbudzał tak wielkie zainteresowanie, że słuchała spokojnie cała klasa. Wychowawczynią przez cały czas nauki w gimnazjum była pani Guściora, która uczyła nas historii. Przy okazji była zagorzałą endeczką. My wtedy w szkole działaliśmy, że tak powiem społecznie, ale wychowawczyni nigdy nie udzielała dodatkowych zwolnień, nie było nawet o tym mowy. Trzeba było zawsze liczyć się z tym, co powie wychowawczyni. Kiedy dyrektor pozwolił nam na zorganizowanie „świetlicy” to pani Guściora przyjęła to milcząco – nie ganiła nas, ale też nie chwaliła.

Dobrze zapamiętałam panią Zosię Nowakowską, która była naszą polonistką w starszych klasach. Była ona młodą nauczycielką, bardzo ładna – średniego wzrostu, jasna blondynka o niebieskich oczach, zawsze uśmiechnięta. Praca w naszym gimnazjum była jej pierwszą pracą po dyplomie uzyskanym na Uniwersytecie Jagiellońskim. Była szalenie miła i wyrozumiała, a ponadto miała bardzo dobre podejście do uczniów. Uważała, że młodzież nie tylko musi wiedzieć kto, co i kiedy napisał, ale także powinna wiedzieć co się dzieje w Polsce i na świecie. Pamiętam, że raz się zwolniłam i trochę przy tym skłamałam, że mnie boli głowa czy że mam katar. Pani Zosia postanowiła sprawdzić czy się czuję dobrze, przyjeżdża więc do mojego domu,

a ja akurat wsiadam na rower i gdzieś się wybieram! Speszyłam się trochę, ale pani Zosia mówi: „Wiesz co, jest godzina 12, więc jeśli nawet wybierasz się do szkoły to jest za późno. Taka piękna pogoda, chodź zrobimy sobie małą przejażdżkę rowerami”. Był maj, piękna pogoda, więc się wybrałyśmy. Później kiedy ją odprowadzałam przy jednej z głównych ulic powiedziała mi: „Wróć już, bo jak nas ktoś razem zobaczy, a może wiedzieć, że ciebie w szkole nie było, będziesz miała kłopoty”. Wtedy dopiero zrozumiałam, że ona wiedziała, że ja zwagarowałam.

MŁM: Lata nauki w gimnazjum to bardzo intensywny okres w życiu młodego człowieka. Zawijają się przyjaźnie...

TZ: Od początku nauki w czwartej klasie zaprzyjaźniłam się z Tuską – Natalią Kisłowską. Tuśka była Rosjanką i nie miała rodzeństwa, natomiast jej rodzice byli bardzo zamożnymi ludźmi. W czasie rewolucji bolszewicy zajęli ich majątki, ale kiedy Kisłowscy przybyli do Polski – czy przed, czy już po rewolucji – nie wiem. Ja nie dopytywałam, a Tuśka nigdy o tym nie mówiła. Często bywałam u niej w domu i jej ojciec bardzo mnie polubił. Pamiętam, że byłam u nich na obiedzie, na którym podawano klasyczne rosyjskie bliny. Z Tuską sympatyzował już wtedy jej późniejszy mąż – Staszek Mołoniewicz. Pobrali się, mieli jedną córkę, ale później się rozwiedli, a Staszek trafił do Afryki Południowej. Był też Jurek Giżycki, przyjaciel Staszka. Jurek był w o rok starszej klasie i już wtedy w gimnazjum interesował się filmem. Co prawda nie miałyśmy tak dużego kontaktu ze starszymi klasami, ale z Jurkiem widywałam się często u Tuśki. Jurek to był bardzo inteligentny i wszechstronnie uzdolniony chłopak. Napisał nawet książkę o szachach. Mam gdzieś nawet zdjęcie jak razem tańczymy.

Oprócz przyjaźni z Tuską przyjaźniłam się jeszcze z Leontyną Olszewską – Lonką. Z Lonką znałam się już wcześniej, ponieważ razem chodziłyśmy do szkoły powszechnej, później obie uczyłyśmy się w Macierzy i razem po trzeciej klasie przenieśliśmy się do Traugutta. Lonka była bardzo biedną dziewczynką. Jej ojciec zmarł bardzo wcześnie. Mieli gospodarstwo, a właściwie dworek prawie 30 km od Brześcia. To gospodarstwo miało około 100 ha, ale niezbyt urodzajnej ziemi, które było prowadzone przez jej matkę. Leontynka miała rodzeństwo – starszy brat studiował na SGGW w Warszawie,

a młodsza siostra mieszkała z mamą. Lonka w Brześciu mieszkała na jakiejś stacji. Pamiętam jak już później, kiedy byliśmy w jakiejś starszej klasie była dość mroźna zima, a Lonka chodziła bardzo lekko ubrana. Chciałyśmy jej jakoś pomóc razem z Tuską i Dzidką, o której też muszę opowiedzieć, ale nie mogłyśmy jej przecież kupić płaszcza, zresztą jak go przemycić na tę stację? Lonka nie przyjęłaby takiego prezentu od nas – nie pozwoliłaby jej na to jej ogromna ambicja. W końcu Tuśka wpadła na bardzo dobry pomysł. Pewnego dnia mówi do nas: „Słuchajcie, musimy jej kupić ciepłe rajtuzy. Lonka ma w końcu kawałek drogi do szkoły”. Nie odważyliśmy się iść do Lonki na stację zobaczyć jakie ma tam warunki, ale kupiliśmy jej te ciepłe rajtuzy. Tylko żeby ona przyjęła ten prezent od nas trzeba było coś wymyślić i pamiętam, że Tuśka wyhaftowała na pupie coś śmiesznego – nie pamiętam już co. Dajemy Lonce te rajtuzy, ona patrzy na ten napis i śmieje się. Tuśka powiedziała Leontynce: „Wiesz co, do twojej pupy to pasuje!”. Lonka pogroziła nam, ale później chodziła w tych rajtuzach. Lonkę nazywałyśmy naszą klasową poetką i malarką, ponieważ pisała wiersze i pięknie rysowała. Z Lonką miałam kontakt po wojnie. Była nawet ze mną we Włodzimierzowie. Po maturze poszła, podobnie jak brat, na SGGW do Warszawy. Wspomniałam o Dzidce i to była naprawdę ważna przyjaźń. Nazywała się Wanda Lisowska, ale mówiłyśmy na nią Dzidka, bo w domu mówili na nią „Dzidzia”. Dzidka przyjechała do Brześcia kiedy jej ojca przeniesiono z Białegostoku. Ojciec z zawodu był inżynierem i naczelnikiem odcinka na kolei. To była rodzina ziemiańska, ze szlacheckimi tradycjami. Mama jej zmarła, kiedy Dzidka miała 8 czy 10 lat, a po jej śmierci ojciec ożenił się powtórnie z ciotką Dzidki – siostrą jej matki. Z zawodu była lekarzem, pięknie grała na pianinie. Sama Dzidka była bardzo inteligentna i niezwykle czytana z artystycznym nastawieniem. Z czytaniem Wandy było nawet trochę problemów, ponieważ czytała po nocach do samego rana i rano mówiła, że nie idzie do szkoły, ponieważ boli ją głowa. Ponieważ bardzo się zaprzyjaźniłam z Dzidką, jej rodzice, kiedy były z nią jakieś kłopoty, dzwoniли do mnie i mówili: „Tusiu, pomóż nam, bo ty masz wpływ na Dzidkę”. Po przyjeździe do Brześcia Dzidka trafiła do Traugutta i do naszej klasy. To była druga połowa szóstej klasy, więc właściwie znałyśmy się tylko przez 2 lata, ale wakacje spędzałyśmy już razem. Rodzice Dzidki mieli majątek nie nad samym Niemnem, ale w okolicy, miejscowość nazywała się Szczucinek. Byłam tam razem z Dzidką dwa tygodnie po siódmej

klasie gimnazjum. To był bardzo ładny dwór, dość typowy z gazonem – mnie to wszystko bardzo bawiło. Nasza przyjaźń przetrwała wojnę, choć losy Dzidki i jej rodziny były bardzo dramatyczne, przetrwała też czasy powojenne. Jeszcze w czasie wojny Dzidka osiedliła się w Londynie. W Londynie odwiedziłam ją dwa razy, zresztą kiedy leciałam do Afryki zawsze starałam się wybrać takie połączenie, żeby spędzić choć trochę czasu z Dzidką w Londynie.

MŁM: Szkoła to nie wszystko. Jak uczennice spędzały czas wolny?

TZ: W Brześciu było prywatne kino, którego właścicielem był Sarwer, dlatego kiedy szło się do kina mówiło się, że idzie się do Sarwera. Szkoła zabraniała chodzić do tego kina, bo tam są wyświetlane różne filmy. *Sen nocy letniej* też był zabroniony – no przecież to nonsens! Pomimo zakazu chodzenia do Sarwera my z Tušką bardzo chciałyśmy tam chodzić. Nauczyciele mieli nawet specjalne dyżury i chodzili po ulicach, sprawdzali kina. Trzeba więc było przemknąć się na balkon, bo na balkon nauczyciele już nie wchodziłi. Chodziło o to, żeby nie wpaść, bo jeżeli nauczyciel kogoś złapał to by było już niedobrze. Poza tym w Gimnazjum Traugutta była piękna aula i dyrektor zezwalał na tańcówki, które odbywały się dość często. W karnawale obowiązkowo, ale i poza karnawałem w soboty wieczorem od godziny siódmej do dziesiątej wieczorem – nie można było dłużej. Oczywiście chodziłam na tańcówki. Razem ze mną chodziła też Tuška, Staszek i Jurek. Tańczyliśmy całe wieczory i to też jest charakterystyczne, że młodzież wtedy bawiła się w szkole.

MŁM: Szkoły w II Rzeczypospolitej starały się organizować wolny czas uczniom. W szkolnych placówkach funkcjonowały grupy teatralne, chóry muzyczne, sodalicje mariańskie, drużyny harcarskie. Czy należała Pani do jakiejś organizacji?

TZ: Była taka organizacja, o której się potem nie mówiło... nazywała się Straż Przednia⁹. To były już oczywiście czasy rządów sanacji

⁹ Straż Przednia (właśc. Organizacja Pracy Obywatelskiej Młodzieży „Straż Przednia”) – zrzeszająca młodzież elitarna organizacja wychowania patriotycznego utworzona w 1932 r. przez Janusza Jędrzejewicza i Adama Skwarczyńskiego, związana z obozem sanacji, zob. W. Muszyński, *Mali piłsudczycy*, „Biuletyn IPN” 2008, nr 5–6 (88–89), s. 69–75.

i choć w Polsce była duża opozycja, my nadal z rodzicami byliśmy po stronie Piłsudskiego. Nasza polonistka, pani Zosia, która była piłsudczykiem szybko zorientowała w naszych poglądach politycznych, choć w klasie były rzecz jasna zwolenniczki endecji. Pani Zosia proponowała nam dobrowolne wstąpienie do Straży Przedniej, która była trochę organizacją elitarną, ponieważ należały do niej tylko dobre uczennice. Czym zajmowałyśmy się w Straży Przedniej? Czytałyśmy *Pisma* Piłsudskiego i jego życiorys, poznawałyśmy także imponabilia, które on wyznawał i najważniejsze wartości kształtujące życie tego człowieka. Poza tym mówiłyśmy jakie mamy zainteresowania polityczne i na te tematy wygłaszałyśmy referaty. Ponadto śledziłyśmy wszystko to co działo się na świecie, więc nie mówiłyśmy na swoich zebraniach tylko o Piłsudskim. Stąd ja w latach gimnazjum poznałam bardzo wiele doktryn politycznych. Czytałam o socjalizmie jeszcze od francuskich autorów. Poznałam dobrze na przykład filozofię Proudhona¹⁰, który mówił, że „własność to jest kradzież” i inne utopie. Dużo czytałam także o faszyzmie we Włoszech, oczywiście o Sowietach i o hitleryzmie w Niemczech. Pani Zosia podawała nam literaturę, którą się przerabiało i dzięki temu poznałam te główne prądy. Mówiło się także o polityce naszego rządu. Oprócz tego pani Zosia proponowała nam zorganizowanie świetlicy i czytelnicy. Dyrektor wyraził zgodę na ten pomysł, zresztą muszę przyznać, że zawsze nam szedł na rękę i pozwolił na ten cel przeznaczyć dwie sale lekcyjne, z których mogłyśmy korzystać popołudniu. Dyrektor Nanowski zapnumerował dwie gazety codzienne – nie pamiętam już jak brzmiały ich tytuły, ale jedna była gazetą krakowską, druga warszawską, poza tym tygodniki. Popołudniami ustawiałyśmy w jednej z sal krzesła, były tam też półki na tygodniki i dzienniki. Jeśli ktoś z uczniów chciał przeglądać te gazety po prostu przychodził, siadał i czytał, a my wykonawczynie tego pomysłu miałyśmy obowiązek dyżurowania w tych salach tak, żeby był zachowany porządek. W drugiej sali natomiast były gry: domino, szachy, był też nawet stolik do ping ponga. W tym drugim pomieszczeniu przebywały przeważnie młodsze klasy, ale jeżeli ktoś ze starszych klas miał ochotę pograć, to oczywiście nie czyniono mu żadnych przeszkód. Pamiętam, że w związku z obowiązkiem dyżurów w tych salach

¹⁰ Pierre-Joseph Proudhon (1809–1865) – francuski polityk, ekonomista, dziennikarz i socjolog, jeden z pierwszych ideologów anarchizmu.

miałam jedną nieprzyjemną przygodę. W którejś z młodszych klas było dwóch czy trzech łobuziaków. Przychodzili do czytelni, brali gazety, siadali, ale nie czytali, tylko udawali, że czytają, w rzeczywistości bez przerwy rozmawiali. Ja byłam bardzo surowa i zwracałam im uwagę, mówiłam: „Chłopcy, obok macie salę, gdzie możecie rozmawiać, a jeśli macie ochotę to nawet śpiewać, ale tutaj nie wolno przeszkadzać”. Oni bagatelizowali to i za chwilę znowu przeszkadzali swoimi rozmowami, a przy tym nie bardzo dawali się wyprosić. W końcu zdenerwowałam się i powiedziałam: „Jeśli za chwilę nie wyjdziecie to pójdę po woźnego i was za uszy wyprowadzę!”. Dopiero wtedy stwierdzali, że nie ma już co dłużej się upierać i wychodzili, ale potem zemścili się na mnie, obluzowując krzesło, na którym siadałam. Weszłam do sali, przesunęłam krzesło, być może tym samym jeszcze bardziej je luzując, i kiedy usiadłam wszystko się rozleciało, a ja znalazłam się na podłodze. To mogło się źle skończyć, bo przecież mogłam sobie coś złamać albo jedna z nóg krzesła mogłaby mi się wbić w ciało. Na szczęście nic się nie stało – klapnęłam po prostu i nie było mi nic poza tym, że czułam się może niezbyt komfortowo w pewnej części ciała, ale nic poza tym. Kiedy upadłam z tym krzesłem ci chłopcy trochę się wystraszyli i od razu podbiegli, aby pomóc mi się podnieść. Ja żadnych konsekwencji z tego nie wyciągnęłam, ale dokuczanie się skończyło. Oprócz prowadzenia tej czytelni i sali z grammi prowadziłyśmy też inną akcję, a mianowicie ogłosiliśmy we wszystkich klasach, że kto zechce może przychodzić do szkoły z dwoma śniadaniami, a następnie jedno z tych śniadań będzie można wrzucać do specjalnych koszy. Do tego dyrektor ufundował kakao i mleko, a my dowiadywałyśmy się o bardzo biednych dzieciach z Brześcia i te dzieci do lat 12 mogły przychodzić, natomiast my się nimi zajmowałyśmy, a przede wszystkim karmiłyśmy. Pamiętam nawet dwa takie mieszkania, w których byłyśmy – położone w suterenie, zawilgocone, troje dzieci i bieda straszna... Także z naszej strony to też było jakieś poświęcenie swojego czasu, bo musiałyśmy przecież się normalnie uczyć, chodziłyśmy na spotkania Straży, popołudniami dyżurowałyśmy w czytelni i jeszcze organizowałyśmy pomoc dla tych dzieci.

MŁM: Wraz ze zbliżającą się maturą przyszedł czas podjęcia decyzji w sprawie dalszej przyszłości. Jakie wtedy były Pani plany?

TZ: Początkowo, być może pod wpływem pani Zosi i zajęć w Straży Przedniej, chciałam iść na socjologię, ponieważ chciałam zgłębić mechanizmy życia i organizacji ludzi. Zawsze interesowało mnie jak to się dzieje, że ludzie tworzą początki demokracji. Później, jakieś pół roku przed maturą, pomyślałam o medycynie, ale nikomu o tym nie powiedziałam, ponieważ wiedziałam, że mój zamiar jest poważny i nie zniósę, by w domu żartowano ze mnie i z mojego wyboru.

MŁM: Dlaczego ostatecznie wybrała Pani medycynę?

TZ: Chorowałam na przewlekłe zapalenie spojówek, a w siódmej klasie wdała się do tego infekcja ropna. Chodziłam do lekarza, ale to był już starszy pan i jedyne co mi przepisywał to jakieś kropelki. Trochę mi to pomogło, ale pomimo tego oczy mnie bolały, piekły. Nie mogłam nawet czytać, bo leciały mi łzy, więc w połowie ósmej klasy pan doktor powiedział, że powinnam przerwać szkołę na trzy miesiące, żeby oczy trochę odpoczęły. Ja powiedziałam wtedy: „Jak to?! Ja mam maturę na karku i mam teraz przerwać szkołę? To wykluczone!”. Mama też rozumiała, że takie rozwiązanie jest niemożliwe i zaczęła szukać innego lekarza. Wkrótce dowiedziała się, że niedawno przyjechała do Brześcia bardzo dobra okulistka, tylko że trzeba być u niej wcześniej, bo są kolejki. Poszłyśmy razem z mamą do tej okulistki około godziny ósmej rano. Okulistka mieszkała w Śródmieściu i tam też miała swój gabinet. Drzwi otworzyła nam jakaś kobieta – okazało się, że pomoc domowa, powiedziała żebyśmy poczekały i wprowadziła nas do pokoju (a nie było to wcale jakieś duże mieszkanie), gdzie kilkoro ludzi sprzątało... sienniki. Rozglądam się... dwa materace, cztery, pięć – cóż to za dziwna poczekalnia? Okazało się, że zjeżdżali do niej ludzie z pobliskich wsi i nie mieli czym wrócić i dlatego ta okulistka przeznaczyła ten pokój na „noclegownię” dla tych niezbyt dobrze sytuowanych ludzi ze wsi, którzy mieli problemy z oczami i przyjeżdżali do niej na wizyty. Czekałam aż w końcu przyszła moja kolej. Okulistka zbadała mnie i mówi, że jest zadawnione i przewlekłe. Rzeczywiście fatalnie to wyglądało, bo powieki miałam cały czas czerwone i obrzmiałe. Pani doktor zapytała się mnie czy zwolniłam się ze szkoły i na jak długo. Odpowiedziałam, że zwolniłam się na dwie godziny, ale mogę zostać dłużej. Ona spytała się, bo nie wiedziała, czy dwie godziny wystarczą, ponieważ mówi do mnie: „Ja będę lapisować” – wtedy nie wiedziałam co to

znaczy lapolisować, a ona powiedziała mi tylko: „To cię bardzo będzie piekło, będzie łzawiło, ale łzy to spłuczą i to minie. Tylko się nie prze-
raż, bo będziesz miała wrażenie, że ci oczy wypaliłam”. Rzeczywiście
piekło, łzy leciały, ale ja siedziałam spokojnie. Po zabiegu zapisała mi
jeszcze jakieś kropelki i maść do smarowania. Zapalenie spojówek
minęło po kilku zabiegach. Ponieważ do szkoły jeździłam na rowerze
i wiatr wiał mi prosto w oczy okulistka poleciła mi noszenie okularów
takich jakie noszą narciarze. Byłam zachwycona tą panią doktor –
raz, że ona mi w końcu pomogła, a dwa jej postawą wobec tych ludzi,
którym pozwalała nocować w swoim domu. Któregoś dnia poszłam
z kwiatami jej podziękować. Zakochałam się w okulistyce i wtedy
postanowiłam iść na medycynę. Będąc na studiach, myślałam o spe-
cjalizacji z okulistyki, ale ćwiczenia nie były zachęcające i odstąpi-
łam od tego zamiaru.

MŁM: W końcu przyszła matura. Jak przebiegały egzaminy?

TZ: Pierwszego dnia matur, czyli matury z języka polskiego nie
pisałam, ponieważ już w marcu zdawałam maturę konkursową pod
patronatem Polskiej Akademii Literatury. Do matury konkursowej
w Brześciu przystąpiły cztery uczennice – dwie z Macierzy (moja
dawna przyjaciółka Marysia Wołoszynówna i jej koleżanka), a z Trau-
gutta Leontynka i ja. Warunkiem przystąpienia do tej wcześniejszej
matury było otrzymanie oceny bardzo dobrej z polskiego na koniec
VII klasy i na półroczu VIII. Zarówno ja, jak i Lonka spełniałyśmy te
warunki. Specjalnie dla nas powołana była komisja oraz wydzielona
została na jednym z korytarzy klasa, obok której nie mogli przecho-
dzić uczniowie z innych klas, czyli przygotowano dla nas normalne,
maturalne warunki. Prace były sprawdzane przez członków Polskiej
Akademii Literatury. Napisanie pracy na ocenę bardzo dobrą lub
dobrą – już teraz nie pamiętam, gwarantowało zwolnienie z egzaminu
maturalnego w maju, natomiast dwie autorki najlepszych prac były
zaproszone na pierwsze powakacyjne posiedzenie Akademii. Kiedy
wyjechałam już na studia, do Brześcia gdzieś na początku grudnia
przyszło zawiadomienie, że moje wypracowanie zdobyło trzecie
miejsce i że w związku z tym jestem zaproszona na posiedzenie Pol-
skiej Akademii Literatury do Warszawy. Mama zrobiła wszystko,
żeby ta informacja dotarła do mnie do Poznania. Do domu przyjecha-
łam na tydzień przed posiedzeniem Akademii i pamiętam, że kiedy

weszłam do kuchni i zobaczyłam rodzinę, z którą nie widziałam się od końca września rozplakałam się ze wzruszenia. Mama poszła ze mną do sklepów i obkupiła mnie na ten wyjazd do stolicy. Kupiła mi trzyćwierciowe brązowe futerko nad kolana, do tego wysokie zimowe kozaki (już wtedy takie się nosiło) i kapelusik. Później w Poznaniu na ulicy jakiś mężczyzna za mną nawet zawołał: „Jaka szwoleżerka!”, ale rzeczywiście raptem stałam się elegancka.

Spotkałyśmy się we trzy, obie dziewczyny zresztą znałam i okazało się, że wszystkie jesteśmy medyczkami. One studiowały medycynę w Warszawie. Powiedziałam, że zaproszenie na posiedzenie Polskiej Akademii Literatury dostawały autorki dwóch najlepszych prac, dlatego zatem ja się tam znalazłam? Okazało się, że w tym roku do Akademii przyjęty został Kornel Makuszyński i on oceniał prace. Tytuł mojej matury konkursowej brzmiał *Literatura polska w walce narodu o niepodległość* i Makuszyński zdecydował, że ta praca zasługuje jednak na nagrodę i ustanowił on trzecie miejsce. Dzięki temu znalazłam się w Warszawie na posiedzeniu Akademii. Jej prezesem był wtedy Sieroszewski¹¹ i miałam od niego specjalne wydanie wierszy Norwida z autografem Sieroszewskiego. Otrzymałam także jako nagrodę *Mózg i pleć* Boya-Żeleńskiego z autografem autora. Po części oficjalnej był bankiet. Nie była to jakaś huczna zabawa, tylko lampka wina. Oczywiście wszystkie byłyśmy tym bardzo przejęte. Stałyśmy razem nieco z boku i podeszła do nas Zofia Nałkowska. Poprosiła kelnera, aby przyniósł nam po lampce wina, ale mówi: „Dla nich powinien być szampan, bo to są laureatki”. Zapytała się czy studiujemy i jak się dowiedziała, że wszystkie trzy jesteśmy na medycynie to stwierdziła: „Przed wami kariera literacka! Żeromski zaczął od medycyny, Saint-Exupery też był lekarzem”. Ale żadna z nas nie miała później do czynienia z literaturą, więc wróżba się nie spełniła. Najlepiej zapamiętałam maturę z matematyki, czyli drugi dzień egzaminów, ponieważ w tym dniu w Brześciu był „pogrom” Żydów¹². To

¹¹ Wacław Sieroszewski (1858–1945) – pisarz, podróżnik, badacz, etnograf, działacz niepodległościowy, poseł i senator II RP.

¹² Zajścia antyżydowskie w Brześciu nad Bugiem miały miejsce 13 maja 1937 r. Ich początek związany był z interwencją starszego posterunkowego Stefana Kędziory, który otrzymał zawiadomienie o sprzedaży na Małym Rynku mięsa z nielegalnego uboju rytualnego, zakazanego ustawą z dn. 17 kwietnia 1936 r. W czasie rewizji u żydowskiego rzeźnika Ajzyka Szczerbowskiego Kędziora odnalazł mięso z nielegalnego

był 13 maja 1937 roku. Matematykę pisaliśmy w auli szkolnej, której okna wychodziły na ulicę Mickiewicza. Przy ulicy był jakiś skwerek czy niewielki park, a za nim targ. Piszemy spokojnie maturę i gdzieś około godziny 11 czy 12, więc mniej więcej blisko końca egzaminu nagle rozległ się wielki tumult, jakiś straszny hałas i dziwne dźwięki tak jakby coś się niedobrego działo. Nauczyciele pozamykali okna, żeby uczniowie mogli spokojnie pisać dalej. Kiedy egzamin dobiegł końca gdzieś tak około godziny pierwszej po południu, wracając do domów, dowiadywałyśmy się co się stało. Pierwsze informacje były niejasne. Powiedziano nam tylko, że na targu bili się Polacy z Żydami. Poszłyśmy więc w kierunku targu i powracający z niego ludzie opowiedzieli nam, że policjant sprawdzał na targu jatki żydowskie i w jednej z nich zakwestionował sprzedawane mięso, w związku z czym zaczął wypisywać mandat. Widzący to dwudziestoletni syn ukaranego właściciela tak się zdenerwował, że złapał za nóż rzeźniczy i zabił tego policjanta. Kiedy zamordował policjanta, to co oczywiste ludzie rzucili się na te żydowskie jatki. Policja rozdzieliła wszystkich i nie pozwoliła, aby doszło do jakiegoś samosądu, więc żadnego Żyda nie zabito. Nie zabito również żadnego Żyda i później w czasie antyżydowskich rozruchów. Poszłam do cioci, która mieszkała na rogu ulicy 3 Maja i Unii Lubelskiej, naprzeciw kościoła. Po drodze wszystkie szyby w sklepach żydowskich były wybite, na ulicy 3 Maja leżało pełno szkła. Zawartości sklepów nie kradli, tylko niszczyli albo wyrzucali na ulicę. Kiedy szłam widziałam, że na ulicy poniewiera się dużo jakichś ubrań, galanterii itd. Z tego „pogromu” zapamiętałam sobie jeden obrazek, a mianowicie: starszy pan (być może nie był aż tak stary, mógł mieć około 50 lat) pomimo że był maj szedł w meloniku i z laseczką o srebrnej główce, którą wymachiwał.

uboju. Podczas interwencji policjant został pchnięty nożem rzeźnickim w plecy przez syna rzeźnika – Welwela. Upadając, zdążył oddać strzał, który ranił Ajzyka Szczerbowskiiego. Pół godziny później Kędziora zmarł w szpitalu. Wydarzenia te wywołały kilkunastogodzinne zamieszki wymierzone w żydowskich mieszkańców miasta. W ich wyniku ranny zostały 54 osoby, w tym 50 Żydów, zniszczeniu lub splądrowaniu uległo ponad 1150 sklepów (w zdecydowanej większości żydowskich) oraz wybito szyby w około 200 domach zamieszkałych przez Żydów. W wyniku odniesionych obrażeń po kilku dniach zmarł żydowski zegarmistrz Boruch Zylberberg. Ogółem policja aresztowała 185 osób, w tym 16 Żydów, więcej o zajścia antyżydowskich w Brześciu zob. W. Śleszyński, *Zajścia antyżydowskie w Brześciu nad Bugiem 13 V 1937 r.*, Archiwum Państwowe w Białymstoku, Białystok 2004.

W pewnym momencie on stanął, ja również przystanąłam kilkanaście kroków za nim i zainteresowana jego sylwetką zaczęłam mu się przyglądać. Na ulicy było pusto, miałam wrażenie, że co się miało stać, już się stało. W jednym ze sklepów była wielka szyba, a na górze takie drobne szybki i ten pan każdą małą szybkę wybijał swoją laseczką. Ponieważ tych szybek było po kilka po obu stronach oraz w drzwiach, trochę trwało, a kiedy wybił już wszystkie machając laseczką poszedł dalej. Natomiast ulica Długa, na której kiedyś mieszkaliśmy była cała biała, ponieważ Polacy wpadali do domów żydowskich i rozpruwali poduszki, dlatego na ulicy było pełno pierza przykrywającego całą ulicę. Po tym „pogromie” w mieście prowadzono silną agitację „Nie kupuj u Żyda”. Wtedy otworzono w Brześciu kilka nowych sklepów. Mówiono, że kupcy przyjeżdżali aż z Poznańskiego.

MŁM: Została Pani studentką Uniwersytetu Poznańskiego. Dlaczego zdecydowała się pani na studia w Poznaniu, który był wtedy, patrząc z perspektywy mieszkańców Brześcia, na drugim „końcu świata”? Przecież znacznie bliżej była chociażby Warszawa...

TZ: Początkowo myślałam o studiach w Warszawie, ponieważ moje dobre koleżanki – Tuśka i Lonka – poszły studiować do stolicy. Wtedy nie było tak trudno o akademik jak teraz, więc ja również zamówiłam pokój w akademiku żeńskim, który znajdował się na Polnej. Natomiast brat mojej mamy, a mój wuj Emil służył w Straży Granicznej w randze kapitana. Co ciekawe wuj Emil był legionistą, natomiast jego brat Antek był... hallerczykiem, stąd jak do nas przyjeżdżali zawsze odbywały się długie dyskusje polityczne pomiędzy nimi. Początkowo wuj Emil stacjonował bliżej granicy, ale później został przeniesiony do biura centralnego w Poznaniu. Wuj zawsze mnie bardzo lubił i po maturze rozmawiając z mamą, zaproponował, abym poszła studiować do Poznania. Będę miała zagwarantowane mieszkanie oraz jedzenie, a wiadomo, że kiedy matka wypuszcza córkę bardzo się o nią boi. Ja zamówiłam już sobie pokój na Polnej w Warszawie, a tu nagle mama mi mówi: „W Poznaniu będziesz miała obiady, utrzymanie, nie będziesz miała żadnych problemów z jedzeniem, a w mieszkaniu bardzo dobre warunki”. Ja próbowałam tłumaczyć: „Ale mammo – będę tam taka sama, nikogo nie znam poza wujem”. Mama jednak nie dała się przekonać, powiedziała: „Wolałabym, żebyś była tam”, więc pojechałam

do Poznania i rzeczywiście miałam rację – na egzaminach czułam się jak biedna sierotka, ponieważ wszędzie grupki, „giełda”, a ja stoję, nikogo nie znam i nic nie wiem! Egzaminy jednak zdałam. Na pierwszy rok dostało się 105 osób, a ja miałam dziesiątą lokatę. Wuj Emil strasznie był ze mnie dumny i cieszył się, że mieszkam u nich. Niestety, pomimo tego, że miałam u wuja rzeczywiście dobre warunki, szybko mieszkanie z nimi okazało się nieco uciążliwe. Plan zajęć miałam dość napięty np. popołudniu mieliśmy anatomię, potem chemię organiczną, na której były różne doświadczenia, więc kiedy wracałam o 8 wieczorem byłam już zmęczona, a jeszcze trzeba było się czegoś pouczyć na dzień następny. Tymczasem przychodziłam do domu, a tutaj, zawsze raz w tygodniu, a czasami nawet i dwa razy goście, kolacja i wszyscy czekają aż przyjdzie ta studentka... Pamiętam jak kiedyś poszliśmy do teatru. Wuj zaprosił wtedy dwóch młodych oficerów. Po teatrze poszliśmy do „Indry” – to był taki lokal gdzie do północy można było tańczyć. Oficerowie zaproszeni przez wuja byli kawalerami, ale wuj nie robił żadnych planów matrymonialnych – uważał, że jako studentka mam ważniejsze sprawy na głowie. Któregoś dnia uprzedziłam wujka, że wrócę późno, jakoś po 11 wieczorem, ponieważ idę prosto z zajęć na pl. Wolności do Pałacu Raczyńskich na „Słówka Młodych”. To zresztą nie było moje pierwsze wyjście, tylko trzecie czy nawet czwarte, ale tego dnia wuj chyba o tym zapomniał. Już kiedy wujkowi oznajmiłam, że wrócę później zaczął oponować. Mówił: „Jak ty sama będziesz wracać!”, ale ja nigdy nie wracałam sama, zawsze ktoś mnie odprowadzał i powiedziałam o tym wujkowi. Wróciłam tego dnia po 11, wujek siedział zasłonięty gazetą niby ją czytając, wyglądem przypominał chmurę gradową. Wchodzę, płaszcz wieszam w korytarzu i mówię: „Dobry wieczór wujku”. Wuj odłożył gazetę i mówi: „Tusiu, jak ty możesz mi coś takiego robić?!”. Był tak poważny, tak obrażony, a do tego taki bardzo wobec mnie krytyczny, że nigdy go takim nie widziałam. Ja mówię: „Wujku, przecież uprzedzałam cię, że wrócę dzisiaj później, a Poznań jest spokojnym miastem, zresztą nie wracam nigdy sama”. Wuj dał się jakoś udobruchać. Kiedyś przyjechał do mnie z Brześcia starszy ode mnie trzy czy cztery lata kolega Józek Romanowski. Józek miał coś do przekazania jakiemuś profesorowi z Uniwersytetu, ale ponieważ go nie zastał chciał poprosić mnie, abym tę „przesyłkę” profesorowi przekazała. Józek przyszedł do domu, to był budynek należący do Straży Granicznej więc należało się wylegitymować. Nie

chcieli go początkowo wpuścić, ale Józek wytłumaczył się jakoś i że chce zobaczyć się z panem Rogalskim w sprawie panny Tusi Orzechowskiej. Wpuszczono go i zjawił się w gabinecie wujka, a wuj Emil przychodzi później do mnie i mówi, że zjawił się u niego jakiś chłopak, który spytał go, czy może się zobaczyć z Tusią. Co za Tusia?! Ja odpowiedziałam wujkowi „To co miał powiedzieć? Czy mogę się zobaczyć z panną Tusią panną Orzechowską?” Ja wujka tym rozbawiłam, bo jak byłam mała i pytano się mnie jak się nazywam to ja odpowiadałam „panna Tusia panna Orzechowska” i wtedy wujkowi to przypomniałam i roześmiał się, ale wcześniej był naprawdę zdenerwowany. Kiedy kończyłam pierwszy rok studiów wiedziałam, że drugi rok jest bardzo trudny i trzeba się dużo uczyć, więc zdecydowałam się wyprowadzić od wujka. Tłumaczyłam, że obiady będę miała w akademiku, a jak u nich będzie coś dobrego, co bardzo lubię, to przyjdę. Wyprowadziłam się do Domu Studenckiego, ale wuj był bardzo zawiedziony, a nawet oburzony. Nie rozumiał, dlaczego ja się wyprowadzam.

MŁM: W latach trzydziestych doszło do zaognienia stosunków polsko-żydowskich. Uniwersytety stały się jednym z najważniejszych pól, na których konflikt ten był rozgrywany. Młodzież z ruchu narodowego starała się wprowadzić na wydziałach zasady getta ławkowego, postulowała wprowadzenie zasady *numerus clausus*, a nawet *numerus nullus*, dochodziło do bójek pomiędzy studentami polskimi i żydowskimi. Dzisiaj często patrzy się na te wydarzenia dość stereotypowo. Wielki kryzys gospodarczy, który dotknął Polskę z wielką siłą i młodzież zgrupowana w takich organizacjach jak Młodzież Wszechpolska obawiająca się o swoją przyszłość uważała, że państwo powinno zapewniać edukację w pierwszej kolejności obywatelom narodowości polskiej, stąd żądanie ograniczeń w przyjmowaniu na studia obywateli narodowości żydowskiej. Z drugiej strony mniejszość żydowska pozbawiona możliwości robienia kariery w administracji państwowej, wybierała kierunki studiów zapewniające dobry zawód, a więc głównie prawo oraz medycynę. Czy na Pani uczelni miały miejsce wystąpienia antyżydowskie?

TZ: Nie. Na moim roku i wydziale nie było w ogóle żadnego Żyda. Studiowało pięciu Ukraińców, którzy mieszkali u jednego z pracowników uniwersytetu zajmującego się na Anatomicum preparowaniem

kości. Mieli u niego bardzo dobre warunki, ponieważ miał duże mieszkanie. Na roku nie rozróżnialiśmy kto jest Polakiem, a kto Ukraińcem i o tym, że nasi koledzy są Ukraińcami dowiedzieliśmy się dopiero później. Oczywiście nikt tych kolegów nie niepokoił.

Natomiast byli na uniwersytecie koledzy z Młodzieży Wszechpolskiej, którzy w klapach marynarek nosili mieczyki. Z jednym z nich miałam nawet bliższy kontakt. Ci koledzy bardzo się przechwalali działalnością na organizowanych przez siebie zebraniach, ale jakie tematy tam poruszali nie wiem, ponieważ na roku nie prowadzili żadnej widocznej działalności.

MŁM: Tymczasem sytuacja międzynarodowa zaczęła się drastycznie pogarszać. 5 maja 1939 roku minister Beck wygłosił na posiedzeniu plenarnym Sejmu Rzeczypospolitej słynne *expose*. Oprócz najbardziej znanych słów o tym, że „Polska od Bałtyku odepchnąć się nie da” oraz że „w Polsce nie znamy pojęcia pokoju za wszelką cenę”, a honor jest rzeczą bezcenną, szef polskiego MSZ przedstawił szczegółowo stan stosunków polsko-niemieckich. Obraz przedstawiony przez ministra nie napawał optymizmem. Jakie wrażenie wywarła mowa Becka? Czy wierzyliście nadal, że wojny da się uniknąć?

TZ: Mowy Becka słuchałam przez radio. Powtarzaliśmy, że Gdańska słusznie nie oddamy, zresztą nie wierzyliśmy Hitlerowi: miał przecież wejść tylko do Sudetów, a zajął całą Czechosłowację, wcześniej obiecywał, że nie połączy się z Austrią, a w 1938 roku ją zajął. Po mowie Becka nie przypominam sobie, abym słyszała jakąś krytykę rządu. Natomiast krytycznie patrzyliśmy na hasło, że „Nie oddamy nawet guzika”, ponieważ wiedzieliśmy mimo wszystko, że wojna z Niemcami nie będzie łatwa, więc była to ze strony rządu propaganda, ale choć krytycznie spoglądano na to hasło, nikt nie miał do rządu pretensji, przecież musieli uspokajać ludność, to było normalne. Pamiętam, że kiedy na wojsko zbierano różne złote przedmioty to moja ciocia oddała obrączki.

MŁM: Tydzień wcześniej Hitler wypowiedział polsko-niemiecki pakt o nieagresji z 1934 roku. W swym przemówieniu kanclerz Rzeszy powiedział: „Jeśli Rząd Polski uzna za pożądane doprowadzić do nowego traktatowego uregulowania stosunków

z Niemcami to mogę to tylko przyjąć z zadowoleniem, jednak pod warunkiem, że uregulowanie takie oparte będzie na całkowitym, wyraźnym i wiążącym jednakowo obie strony zobowiązaniu. Niemcy są w każdym razie gotowe przyjąć chętnie na siebie takie zobowiązanie i wykonać je”. Zostawił więc Hitler rządowi polskiemu pewną furtkę – pomimo wypowiedzenia układu z 1934 roku Polska mogła rozważać przyjęcie żądań niemieckich. Mowa Becka z 5 maja 1939 roku była powiedzeniem Hitlerowi kategorycznego „nie”. Czy w Pani otoczeniu pojawiały się głosy, że należy przyjąć żądania Hitlera i zgodzić się na aneksję Gdańska?

TZ: W moim otoczeniu nigdy i w ogóle nie spotkałam się wówczas z takimi głosami. Później, po wojnie ci starsi rozważali, czy należało wtedy postąpić inaczej. Nic dziwnego, bo przecież ta straszna wojna dotknęła prawie każdej rodziny – jak nie Katyń, to „koncentrat”, to zastrzelili, to spacyfikowali jakąś wieś. Ile oni wymordowali ludzi? Wywózki na Wschodzie, łapanie w Guberni, więc pojawiały się głosy, że być może powinniśmy zgodzić się na propozycje Hitlera.

MŁM: Jakie były nastroje ludności w czasie ostatnich dni pokoju?

TZ: Ludzie martwili się co będzie jeśli Niemcy użyją gazów. Nie było masek i zastanawiano się, czy starać się o maski. Ale to były przygotowania do wojny i nikt nie miał do rządu pretensji, że przeciwstawił się Niemcom. Obawiano się ponadto lotnictwa, ponieważ wszyscy wiedzieliśmy, że wobec samolotów byliśmy bezradni, chociaż wtedy nie myśleliśmy, że ludność cywilną aż tak będą bombardować i ostrzeliwać.

MŁM: Co Pani robiła w ostatnich dniach pokoju?

TZ: Ponieważ nie miałam zdanego egzaminu pojechałam już pod koniec sierpnia na uczelnię, mając nadzieję, że być może uda mi się zdać egzamin nieco wcześniej. Droga trwała około pięciu godzin – dwie godziny jechało się z Brześcia do Warszawy i trzy godziny z Warszawy do Poznania. Pociąg, którym jechałam był pusty. Konduktor, który sprawdzał bilety zapytał się mnie dokąd jadę. Odpowiedziałam, że do Poznania. „Do Poznania?” – zdziwił się. Dałam bilet, on nic nie mówił tylko pokiwał głową. Od Warszawy do Poznania pociąg zrobił się naprawdę pusty. Po przyjeździe poszłam do wuja

Emila, a wuj, kiedy mnie zobaczył zerwał się gwałtownie, złapał za głowę i mówi: „Co ty tu robisz?! Twoja matka to kompletna wariatka, że Cię puściła! Tusi, nie możesz tutaj zostać! Musisz natychmiast wracać do Brześcia! Widzisz tutaj, co ja robię? Wszystko niszczymy! Ja Irkę i Dankę już trzy tygodnie temu wysłałem do jej rodziny w Łodzi, bo zdajemy sobie sprawę, że wojna wybuchnie niedługo”. Ja powiedziałam wujkowi, że pójdę jeszcze tylko na Słowackiego do Domu Akademickiego, bo zostawiłam tam pościel i inne rzeczy. Wuj powiedział mi, że wszystkie akademiki są już zajęte przez wojsko, ale mówi: „Idź, może zachowali jakieś twoje rzeczy. My jeszcze dziś się wynosimy po zniszczeniu papierów”. Powiedziałam wujkowi, żeby się nie martwił, bo przyjaźnię się z Wandą, u której jest wolny pokój i u niej się zatrzymam. Pożegnałam się z wujem i poszłam. Dyżurującemu przy Domu Studenckim oficerowi powiedziałam jak się nazywam i że mieszkałam w jednym z pokoi. Pozwolił mi wejść do pokoju, a tam wszystko pięknie złożone. Była pościel, w szafce książki, z których dwie zabrałam, była też suknia balowa, ponieważ w Poznaniu chodziłam na bale, ale jej już nie zabrałam. Nie zabierałam ze sobą dużego bagażu – jedynie małą walizczkę. Postanowiłam pojechać do Wandy. Szłam Placem Wolności i dostrzegłam ją jak idzie drugą stroną. Wanda była zgrabna, bardzo elegancka, bardzo wygadana – jakie ona miała powiedzenia! Na przykład „Moje rady to są jak gówno do pomady!”. Ona wtedy zawsze malowała sobie brwi. Później po wojnie to się jej spytałam: „Wanda, czemu sobie te brwi tak nierówno malowałaś?”. A ona wtedy z taką poważną bardzo miną mi odpowiada: „Bo ja to uważam, że gdybym sobie tych brwi nie pomazała to by mogli pomylić się jaka to część ciała – czy to twarz, czy...”. Mama Wandy, pani Opicowa, bardzo się ucieszyła, kiedy mnie zobaczyła, ale później powiedziała: „Tuśku, ty tu przyjechałaś, a wojna niedługo”. Następnego dnia poszliśmy z Wandą do dziekanatu. W dziekanacie wszystko pozamykane, nic nieczynne i nie ma oczywiście żadnych egzaminów.

MŁM: Wojna zastała Panią w Poznaniu. Jak dowiedziała się Pani o jej wybuchu?

TZ: Spałam u pani Opicowej w pokoju starszego brata Wandy. Pierwszego września w piątek gdzieś przed godziną 6 rano obudziła mnie pani Opicowa, choć ja ocknęłam się chwilę wcześniej. Dzień

był bardzo jasny, a pani Opicowa budząc mnie, mówi mi: „Tusiu, wojna się zaczęła”.

MŁM: Jak zapamiętała Pani pierwsze dni wojny?

TZ: Pierwszego września poszliśmy z Wandą do miasta. Już wiedzieliśmy, że jest wojna, ale Wanda miała się spotkać ze swoim bratem Gienkiem, który już wcześniej został zmobilizowany jako lekarz do 3. Pułku Lotniczego, gdzie już od roku był mój stryjek Janek. Ja przywitałam się tylko z Gienkiem i nie byłam przy ich rozmowie. Postanowiłam wracać do domu. Podróż do Poznania zajęła mi 5 godzin, powrót do domu trwał aż tydzień. W pociągu pełno ludzi, którzy wyjeżdżali jak najdalej od zbliżającego się frontu, w dodatku podróż była o tyle ciężka, że cały czas pojawiały się samoloty, które zrzucały bomby, więc za każdym razem, kiedy nadlatywały niemieckie samoloty w pociągu robił się straszny popłoch i panika. Kiedy na niebie pojawiały się samoloty wybiegaliśmy z pociągu po nasypie i rzucaliśmy się na kartofliska – we wrześniu łąciny są już suche, ale zawsze to jakieś zagłębienie. Ja zawsze kładłam się tak, żeby widzieć jak nadlatują i rzeczywiście było widać lecące dość nisko dwupłatowce i słychać było przerażający świst kul. Szczęśliwie nikogo nie trafili. Jak samoloty zniknęły wszyscy wracali do pociągu i podróż odbywała się dalej aż do następnego bombardowania. Zapamiętałam postój w Siedlcach, gdzie bomby padały na dworzec dosyć gęsto. W wagonie ludzie jęczeli, jedna z pań siedziała i modliła się głośno, ale najlepiej zapamiętałam młodego człowieka, który klęczał i starał się schować głowę w jakąś szczelinę wagonu. W końcu powiedziałam: „Proszę pana, bo pan sobie zgniecie głowę!”. Kiedy pociągiem dotarłam z Poznania do Warszawy zaczęłam się zastanawiać co dalej robić – czy mam jechać dalej? Pociąg, którym podróżowałam jechał do Dębli, pomyślałam więc, że może pojechać właśnie tam? W końcu stwierdziłam, że to bez sensu, ponieważ nie będę oddalać się od domu, a pozostanie w Warszawie również nie wchodziło w grę. Doszłam do wniosku, że przejechałam taki kawał drogi, a do domu mam już przecież blisko. Na peronach Dworca Głównego panował straszny tłok, ponieważ nie znajdowali się tam tylko pasażerowie chcący wyostać się z Warszawy dalej na wschód, ale także ludzie, którzy wykorzystując fakt, że perony znajdowały się pod ziemią, chronili się przed bombami. Na pociąg do Brześcia nie czekałam zbyt

długo. Mniej więcej po upływie pół godziny, może mniej oznajmili, że pociąg wjedzie na stację. Ponieważ na peronie były tłumy bałam się, że nie zdołam się przepchnąć i dostać do wagonu, zwłaszcza że miałam ze sobą walizkę. Co prawda nie była ona duża, ale nie po to ją ze sobą zabierałam, żeby ją teraz zostawić. Miałam jednak szczęście, ponieważ pociąg stanął tak, że tuż przed sobą miałam drzwi wejściowe do wagonu. Wsiadłam do pierwszego przedziału i miałam nawet miejsce siedzące. Do Brześcia dotarłam rano 9 września – część drogi do domu musiałam pokonać piechotą. Po dotarciu na miejsce bardzo chciało mi się pić i byłam strasznie zmęczona. Nogi włożyłam do miednicy, potem zjadłam coś lekkiego na śniadanie, które przygotowała mama, następnie zaś położyłam się spać i usnęłam bardzo twardym snem. Obudziła mnie dopiero mama i to z bardzo wielkim trudem mówiąc: „Tusiu, Tusiu, wstań! Bombardowanie!”. Poszliśmy do ogrodu, gdzie wykopany był duży dół, w którym chowaliśmy się przed odłamkami w razie gdyby bomby spadły gdzieś blisko. W dniu, w którym wróciłam Brześć był bardzo intensywnie bombardowany. Nawet mówiłam, że te samoloty, które tak nękały mnie w czasie podróży z Poznania przyleciały za mną do Brześcia. My mieszkaliśmy na przedmieściu, więc tutaj żadne bomby nie padły, ale ulica 3 Maja, na której mieszkała moja ciocia, była dość mocno zniszczona – szczęśliwie dom cioci ocalał. Tego dnia zbombardowana została także stacja kolejowa i tory były zniszczone.

MŁM: Jak w Brześciu zareagowano na wieść o tym, że Armia Czerwona wkroczyła do Polski?

TZ: Sowieci granicę przekroczyli 17 września, a w Brześciu byli chyba 19 lub 20. W Brześciu panowało powszechne oburzenie – mówiono o nożu w plecy, nazywano ich zdrajcami...

MŁM: Jak wobec wkraczających Sowieców zachowywały się mniejszości narodowe?

TZ: My o Sowietach jeszcze przed wojną wiedzieliśmy bardzo dużo. Kiedy dowiedziałyśmy się z Dzidką, że będą wchodzić do Brześcia, pobiegłyśmy na Przedmieście Kijowskie zobaczyć jak oni wyglądają i jak są uzbrojeni. Widzieliśmy, stojąc wśród innych gapiów, jak wojska sowieckie wkraczają do naszego Brześcia. Nikt Sowietów nie witał, pomimo tego, że w Brześciu było dużo Rosjan.

Przecież moja koleżanka Tuśka Kisłowska i jej rodzice byli Rosjanami z pochodzenia, ale czuli się Polakami – nie nawiązali żadnych kontaktów z okupantem. Byli w Brześciu także i Ukraińcy, byli Żydzi, ale żadnych okrzyków z ich strony czy powitania nie było¹³.

MŁM: W czasie końcowej fazy kampanii wrześniowej, w ostatniej dekadzie września, paradoksalnie najważniejszym miejscem walczącej Polski nie była wcale broniąca się jeszcze Warszawa czy broniący się Hel, ale właśnie Brześć, ponieważ to w Brześciu 28 września rękę podały sobie w dosłownym znaczeniu tego słowa dwa totalitaryzmy. Czy pamięta Pani niemiecko-sowiecką defiladę, która odbyła się w Brześciu?

TZ: Nie... Na defiladzie tej nie byłam i jej nie pamiętam. Być może wówczas o niej wiedziałam, ale przyjęłam to tak, że wolałam tego już nigdy nie pamiętać...

MŁM: Jak wyglądał Brześć w pierwszych dniach okupacji? Jaka atmosfera panowała w mieście?

TZ: Całe miasto, które przed wojną było miastem stosunkowo czystym, zaplute było pestkami dyni i słonecznika, które bez przerwy przeżuwali żołnierze sowieccy i to jest moje pierwsze skojarzenie z okupowanym Brześciem. Poza tym sklepy były pozamykane, a jeśli były otwarte to były kompletnie puste – nie można było niczego kupić. W mieście było bardzo dużo żołnierzy, ale co ciekawe nie sprawiali oni wrażenia takiej regularnej, uporządkowanej armii pełniącej wartę czy patrolującej ulice z karabinami. Kiedy czasem był otwarty jakiś sklep to żołnierze ci stali dużymi grupami na schodkach. Część Sowietów grabiła sklepy, ale niektórzy kupowali produkty za swoje ruble. Z Sowietami bezpośredni kontakt miałam, jeżdżąc pociągiem z Brześcia do Baranowicz. W wagonach nie było tłoku, ale jeździło

¹³ Część żydowskich i białoruskich mieszkańców Brześcia wraz z miejscowymi przedstawicielami marginesu społecznego narodowości polskiej przystroiwszy ubrania czerwonymi wstążeczkami, wzniosła na powitanie Armii Czerwonej bramę triumfalną, zaś domy udekorowała czerwonymi flagami i transparentami. Na powitanie wkraczających do Brześcia Sowietów organizatorzy zadbali o obecność orkiestry, która odegrała *Międzynarodówkę*, zob. M. Wierzbicki, *Polacy i Żydzi w zaborze sowieckim. Stosunki polsko-żydowskie na ziemiach północno-wschodnich II RP pod okupacją sowiecką (1939–1941)*, Fronda, Warszawa 2001, s. 47.

pełno wojska. Pamiętam, że jechałam raz w przedziale z dwoma żołnierzami. Oni zagadywali do mnie, ale ja się nie odzywałam, siedziałam spokojnie. Nie spotkałam się jednak z żadną natarczywością wobec mnie. Dopiero później był lęk, że oni gwałcą itp. Wtedy jeszcze tego lęku w sobie nie miałam. Kiedy coś mówili, odpowiadałam zdawkowo. Sama się pytałam jak długo będą w Brześciu. Wtedy oni odpowiadali, że tu stacjonuje ich pułk, więc jakiś czas w Brześciu zostaną. Oni mówili oczywiście po rosyjsku, ja po polsku, ale rozumieliśmy się, zresztą nie były to jakieś głębokie rozmowy. Raz jechałam też z jakimś sowieckim podoficerem. Nie wiem jaki miał stopień, ale na pagonach były jakieś gwiazdki. Oficer ten również do mnie zagadywał. W pewnym momencie spytał: „A kościoły tutaj są? Ludzie do kościoła chodzą? W Pana Boga wierzą?”. Ja mówiłam: „Oczywiście. Dopóki można, wierzą”. Trzeba powiedzieć, że kiedy zaczęła się okupacja Sowieci nie mówili, że nie będzie można chodzić do kościoła i rzeczywiście na początku można było chodzić na msze i nabożeństwa.

Zaraz jak Sowieci weszli do Brześcia schowaliśmy radio, ponieważ oni, podobnie jak Niemcy nie pozwalali mieć radia. Później wyjmowaliśmy je, ustawiając cichutko tak, by nikt nie usłyszał. Kiedy po długiej przerwie usłyszałam w radiu hejnał, to się rozplakałam.

Dla mnie widok okupowanego Brześcia, to wszystko o czym mówiłam, ta atmosfera była tak okropna, że na początku wcale nie wychodziłam z domu. W ogóle Brześć zrobił się strasznie szary i pusty. Nie stykałam się z ludźmi, jedynie Dzidka odwiedzała mnie w domu, więc jak przychodziła siadywałyśmy i bardzo długo rozmawiałyśmy. Jakie to były rozmowy to może sobie Pan wyobrazić. Po klęsce byłyśmy w szoku i strasznie przygnębione, chociaż nie można powiedzieć, że byłyśmy przekonane, że to już koniec, klęska zupełna, a panowanie Niemiec i Sowietów będzie wieczne, nie – myśmy zawsze wierzyły, podobnie jak większość Polaków, w to, że w końcu odzyskamy niepodległość. Niemniej szok nagłej klęski, sowieckiej inwazji w czasie naszej wojny z Niemcami był ogromny. Mama ciągle ustawiała pasjansy, my z Dzidką rozmawiałyśmy, poza tymi rozmowami siedziałam w domu i prawie nigdzie nie wychodziłam – czasami tylko do cioci. Czasami również, razem z Dzidką jeździliśmy z takim wózkiem, który po rosyjsku nazywał się „tołkoczka” na targ, gdzie sprzedawałyśmy różne rzeczy np. szlafrok

matki, jakieś eleganckie koszule i sukienki, które mogły się podobać żonom żołnierzy sowieckich. Niekiedy rozmawiałam też z sąsiadami – oczywiście żaden z nich nie był zadowolony z wejścia do Brześcia Sowieców.

W dodatku ta atmosfera wiecznej propagandy – mówienie o okupacji nie tylko jako o „wyzwoleniu” spod tego wszystkiego co niesie „zły” kapitalizm, ale szeroko rozwinięta propaganda w czasie zorganizowanych przez Sowieców „wyborów”, propagandy przecież zupełnie niepotrzebnej, bo pójście na wybory było obowiązkiem.

MŁM: Oprócz trudności dnia codziennego związanego z sowiecką okupacją i atmosferą klęski jaka wtedy panowała, władze sowieckie dość szybko rozpoczęły politykę terroru. Czy te działania dotknęły kogoś z Pani otoczenia?

TZ: Wywiezionych z Brześcia gdzieś w głąb Sowieców było mnóstwo. Osobiście ich nie znałam, ale to byli przecież koledzy mojego ojca – maszyniści, kolejarze z parowozowni, konduktorzy. To były masowe wywozy. W lutym ubiegłego roku obchodzono siedemdziesiąt rocznicę tych deportacji¹⁴, ale ja pamiętam, że już w styczniu 1940 roku, mimo strasznych mrozów, bez jedzenia i większego bagażu ładowano ludzi do wagonów towarowych. NKWD przychodziło najczęściej w nocy lub wczesnym rankiem i nie pozwalając nawet dokładniej się spakować, zabierało do wagonów całe rodziny – nie tylko mężczyzn, którzy wywożeni byli w pierwszej kolejności, ale kobiety nawet z małymi dziećmi. W wagonach ci wszyscy stłoczeni ludzie grać mogli się tylko swoim ciepłem... To było okropne. Pamiętam oburzenie ojca na to, co działo się z tymi ludźmi. W Brześciu zaczęła panować psychoza strachu – ludzie bali się wywózki, a przecież mogli przyjść po każdego i w każdej chwili. Ojciec obawiając się aresztowania, nie wychodził z domu i dość szybko zaczął się ukrywać. Ten terror dotknął również ludzi, których znałam i którzy byli mi bardzo bliscy. Zaraz na początku okupacji, chyba w grudniu, Sowieci rozstrzelali w Brześciu Józka Romanowskiego, o którego wizycie w Poznaniu wspominałam. Józek został stracony wraz ze swoim 22-letnim bratem i 18-letnią siostrą. Józek był harcerzem i być może działał w jakichś konspiracyjnych strukturach, ale tego nie

¹⁴ Chodzi o 70. rocznicę sowieckich deportacji, która przypadała w lutym 2010 r.

wiem. Dwidka, która była moją najlepszą przyjaciółką wiedziała, że będzie wraz z rodziną wywieziona. Ojciec był kierownikiem odcinka kolejowego, jej ciotka, a zarazem macocha lekarzem, do tego byli oni rodziną ziemiańską, więc było pewne, że jak tylko zaczną się wywózki zostaną aresztowani i wywiezieni. Jakoś na przełomie grudnia i stycznia postanowili przedostać się na zachód.

Dwidka znalazła jakiegoś człowieka, który zobowiązał się przeprowadzić ją i całą jej rodzinę przez „zieloną” granicę. Nie wiem jak zamierzali przejść przez Bug, który nie był jeszcze wtedy zamrożony – czy było tam jakieś przejście, czy może mieli przepłynąć przez niego łódką – nie wiem. Przewodnikowi, który miał ich przeprowadzić zapłacili połowę umówionej sumy, a drugą połowę Dwidka zostawiła u mnie, prosząc, abym dała mu ją, kiedy już ich przeprowadzi. Oczywiście poinformowała go, gdzie ma się zgłosić po odbiór drugiej części pieniędzy. Jednocześnie Dwidka wzięła obrazek jakiegoś świętego i powiedziała mi: „Wiesz, zrobię na tym obrazku takie nakłucie żebyś wiedziała, czy przewodnik nas przeprowadził, bo jeżeli ta wyprawa się źle skończy to ty mu tych pieniędzy nie dasz”. W drogę wybrali się jakoś przed południem. Wszyscy przechodzili kolejno, a przewodnik, którego opłacili powiedział im którędy mają iść. Po dwóch dniach ten przewodnik przyszedł do mnie po drugą część pieniędzy. Dał mi ten obrazek, na który spojrzałam bardzo dyskretnie i zauważyłam, że jest na nim znak zostawiony przez Dwidkę, więc coś się stało i przewodnik ich nie przeprowadził. Zaczęłam się zastanawiać co robić. W końcu stwierdziłam, że jeżeli on nie dostanie tych pieniędzy to mogę mieć z tego powodu straszne kłopoty. Wystarczyłoby, że doniosłby Sowiecom, że mam w domu jakąś większą sumę pieniędzy i przysliby po mnie. Pomyślałam, że przecież Lisowscy i tak już nie wrócą po te pieniądze, więc postanowiłam mu je dać. Tydzień później dowiedzieliśmy się, że Lisowscy są w więzieniu. Potem dowiedziałam się, że ten przewodnik zaprowadził ich wprost na posterunek. To był tego rodzaju oszust, drań, który w ten sposób wydawał ludzi. Lisowscy zostali dość szybko z tego więzienia wywiezieni, także ja nie zdążyłam nawet przekazać im żadnej paczki. Rodzinę rozdzielono – ciotkę i ojca wywieziono gdzie indziej niż Dwidkę i jej młodszą siostrę.

W wigilię Bożego Narodzenia Sowieci aresztowali mojego wujka Antka Rogalskiego. Nie wiedzieliśmy co się z nim dzieje i gdzie jest.

Zaczęliśmy go szukać i to właśnie w związku z tym zaczęłam jeździć do Baranowicz. Później dowiedziałam się, że każde większe miasto miało tereny ograniczone, których mieszkańcy nie mogli przekraczać, a ja jeżdżąc do Baranowicz, przekraczałam je kilkakrotnie. Wuja Antoniego nigdzie jednak nie znalazłam. Znajomi rodziców radzili mi gdzie jeszcze powinnam szukać. Pokazywali mi gdzie są różne sądy czy prokuratura – niestety po wujku nie było ani śladu. Urzędniczki we wszystkich urzędach były zawsze grzeczne. Kiedy przychodziłam i mówiłam w jakiej sprawie przychodzę mówiły „pozdaj – poczekaj”. Wracaly po niedługim czasie i mówiły: „Niet, takowo niet”. Miałam już wracać do domu, ale jeden ze znajomych przyjaciół rodziców powiedział, że skoro wuj został aresztowany na stacji kolejowej powinnam zgłosić się do NKWD Żelaznyje Dorogi. Dowiedziałam się gdzie mieści się NKWD i poszłam. Tam była też urzędniczka, zapytałam się o wuja, ona powiedziała „pozdaj” i po chwili wracając mówi mi: „Tak, jest – Antoni Rogalski”. Ucieszyłam się bardzo i pytam: „Tutaj jest areszt?”. Ona mi odpowiedziała: „Nie, tu nie ma. On jest w więzieniu”. Zapytałam więc gdzie jest to więzienie. Wyjaśniła mi, że więzienie znajduje się jakieś 5 kilometrów za miastem, ale pomyślałam, że jakoś dotrę do niego i przywożę jakieś ciepłe rzeczy, jakiejs suchej wędliny, trochę tłuszczu, jakiegoś smalcu. Kiedy powiedziałam, że pojadę do tego więzienia ta urzędniczka pokiwała głową i powiedziała, że muszę jeszcze poczekać. Czekałam jakieś kilkanaście minut, po czym zaprowadziła mnie do dość dużej sali, gdzie było podwyższenie, na nim stół pokryty zielonym sukniem i krzesła. W pomieszczeniu było pusto. Siedzę, czekam. Po chwili weszło trzech enkawudzistów – jeden z nich był oficerem, bo na ramionach miał gwiazdki. Tylko on zadawał mi pytania, natomiast tamci dwaj siedzieli bez słowa po jego bokach. Przesłuchanie zaczął od tego jak się nazywam, ile mam lat, gdzie mieszkam, następnie zaś zapytał co robiłam przed wojną. Odpowiedziałam, że studiowałam medycynę. Na to on; „Studentką byłaś? A gdzie?” Odpowiedziałam, że w Poznaniu. „Aha... w Poznaniu” – odparł: „No to ty i twoi rodzice to jesteście pany”. Skrzywiłam się na te słowa, a w dodatku siedziałam bez żadnego lęku. Wiedziałam, że mogą mnie zatrzymać, ale wierzyłam głęboko, że skoro przyjechałam to wrócę i nie bałam się. Powiedziałam: „Nie, moja mama nie pracuje, a ojciec mój jest kolejarzem”. Nie powiedziałam, że jest maszynistą, ale kolejarzem „Więc to raczej jest robotnik. Może nieco więcej zarabia, niż zwykły robotnik, ale nie czujemy się jakimiś

panami”. Oficer pokiwał głową i powiedział: „No tak, ale w takim razie z czego się utrzymywałaś? Przecież uczelnie bardzo drogo kosztowały, trzeba było mieć pieniądze”. Odpowiedziałam: „Owszem, czesne trzeba było płacić, ale uczyłam się bardzo dobrze, miałam dobre stopnie i dostawałam duże zniżki. Płaciłam ¼ czesnego w dodatku to nie były jakieś wielkie sumy, więc dla rodziców nie był to zbyt duży wysiłek”. Pokiwał głową i spytał: „Dobrze, ale dlaczego ty szukasz... – spojrzał w papiery – Rogalskiego? Kto to jest dla ciebie? Przecież to ani mąż, ani brat, ani ojciec. Dlaczego ty go szukasz?”. Odpowiedziałam, że to brat mojej mamy i mój wuj i że bardzo go kochamy, a on poza nami nie ma żadnej rodziny, dlatego przyjechał do nas do Brzeźcia na Boże Narodzenie. Zapytał się gdzie wuj mieszkał. Ja powiedziałam, że w Krzemieńcu, ale nie powiedziałam, czując, że oni o tym nie wiedzieli, że wuj był osadnikiem wojskowym i miał 20 ha, ale w rzeczywistości pracował w Krzemieńcu jako urzędnik. Znow pokiwał głową i powiedział: „To dziwne, że ty tu przyjechałaś”, a po chwili odezwał się znowu i spytał: „A ty...” po czym nastąpiła chwila ciszy, a po przerwie: „A ty w Boga wierzysz?”. Ten moment pamiętam do dziś. Usztywniło mnie nagle, przeszły mnie ciarki i o ile wcześniej mówiłam z uśmiechem i swobodnie, po tym pytaniu poczułam się jakbym odpowiadała przed jakimś trybunałem. Po chwili odpowiedziałam: „Tak, ja wierzę w Boga”, a powiedziałam to tak dobitnie, że aż podniosłam głos. Na to moje stwierdzenie oficer gwałtownie się poderwał, stanął i złapawszy się za głowę wykrzyczał: „Ach! Kakaja Azja, kakaja dzicz!”. Wtedy chociaż byłam spięta i skupiona omal się nie roześmiałam, ponieważ dla mnie jego postawa była tak komiczna, że z trudnością opanowałam śmiech. On usiadł i powiedział do mnie tak: „No dobrze, ty w Boga wierzysz, a ty teorię Darwina czytałaś?”. Odpowiedziałam, że jej nie czytałam, ale ją znam i wiem co Darwin w tej teorii ogłosił. Dalej powiedziałam mu: „Ale przecież to tylko teoria i nikt do tej pory nie dał dowodów na to, że Boga nie ma i Darwin też nie twierdzi, że nie ma Boga, tylko twierdzi, że powstanie człowieka nastąpiło drogą ewolucji”. Po tym nastąpiła chwila ciszy. Oficer przybrał surową minę i powiedział: „No, ale Rogalski to jest szpion”. Na te słowa to o mało ja się nie poderwałam. Powiedziałam ze zdziwieniem: „Szpieg?! Mój wuj na pewno nie jest szpiegiem! Przyjechał do nas na Święta, żadnym szpiegiem nigdy nie był, nie jest i na pewno nie będzie!”. Mówiłam to tak dobitnie, jakby los wujka zależał od mojego potwierdzenia. On mówi: „Przeprowadzał ludzi przez granicę”.

Nie wiedziałam o tym i powiedziałam na to: „Może, ale nawet jeśli znając te okolice, kogoś przeprowadził, to jeszcze nie jest dowód na to, że on jest szpiegiem! Czyim szpiegiem?”. Nie powiedziałam w czasie tego przesłuchania, że wuj był wrogiem Niemców, bo przecież w tym czasie Sowietci byli sojusznikami Hitlera. On kategorycznie odpowiedział: „Nie! To jest szpion!” Powiedziałam, że wiem, iż wujek jest w tutejszym więzieniu i spytałam, czy będę mogła go zobaczyć. Oficer odparł: „Skądże!”. Wy tłumaczyłam mu, że przywiozłam wujkowi paczkę, na co ten stwierdził, że paczkę będę mogła zostawić. Na tym zakończyło się to przesłuchanie. W Baranowiczach zostałam jeszcze jeden dzień. Nazajutrz wzięłam sanie i pojechałam. Więzienie było widać już z daleka, a wokół niego dosłownie biała pustynia. Woźnica podwiózł mnie blisko, ale uprzedził, abym szybko wróciła, ponieważ konie mu marzną na mrozie. Poszłam do bramy, zapukałam jeden raz, potem drugi, ale tym razem głośniej i przez okienko wychylił się strażnik. Zapytałam się go, czy mogę zobaczyć wujka – on roześmiał się i powiedział, że nie. Wy tłumaczyłam, że przyjechałam aż z Brześcia i przywiozłam wujkowi paczkę. Odpowiedział, że paczkę będę mogła zostawić, ale uprzedził, że będzie ona rewidowana. Ja to oczywiście rozumiałam. Wróciłam do domu pełna radości, że to załatwiłam i odnalazłam wujka.

MŁM: W czasie okupacji sowieckiej nie przebywała Pani tylko w Brześciu. Postanowiła wyjechać Pani do Lwowa. Co było powodem tego wyjazdu?

TZ: Dowiedziałam się, że w Lwowie w dalszym ciągu działa Uniwersytet i funkcjonuje na nim wydział medyczny. Chciałam dalej studiować i dlatego wyjechałam do Lwowa.

MŁM: Gdzie zatrzymała się Pani po przyjeździe?

TZ: Do Lwowa przyjechałam późnym wieczorem – obowiązywała już godzina policyjna. Lwowa kompletnie nie znałam. Co prawda miałam adres znajomych wuja Antka, państwa Baczyńskich, ale co z tego skoro nie wiedziałam gdzie to jest, a w dodatku była już godzina policyjna. Na stacji zaczęłam się zastanawiać co robić. Może do rana przesiedzieć na stacji? Ale przecież nie wiadomo czy wolno i mogą mnie aresztować – to przecież są Sowiety. Na dworcu zapytałam się jak dojeść pod wypisany na kartce adres, ale ten człowiek pyta mnie: „Ale dziecko, będziesz teraz po nocy tam szła?”. Zapytałam go co innego

mogę zrobić: „Na stacji pewnie zostać nie mogę?”. Powiedział, że nie, ale postarał się jak najlepiej wytłumaczyć mi jak dotrzeć do tego mieszkania. Spytałam: „Ale chyba tak nie pilnują?”. On odparł: „Tak. Idź sobie cichutko, to powinnaś spokojnie dojść”. Drogę wytłumaczył mi bardzo dokładnie i na miejsce trafiłam bez problemu. Zapukałam do drzwi wejściowych, ale zamknięte na dziesięć spustów. Pukałam dalej – delikatnie, ale uporczywie. Wreszcie zza drzwi słychać głos męski: „Kto tam?”. Wyjaśniłam, że przyjechałam z Brześcia i jestem siostrzenicą Antoniego Rogalskiego, na co ten odparł: „A! Antek Rogalski, to dobrze”. Otworzył drzwi i zaprosił mnie do środka, wołając do żony: „Wiesz, przyjechała tutaj do nas do Lwowa siostrzenica Antka Rogalskiego”. Poprosił, abym usiadła, bo na pewno jestem zmęczona, poczęstowali mnie kolacją, a ja tymczasem wyjaśniłam, że przyjechałam do Lwowa, żeby studiować na uniwerku. Zapytali czy zaczynam, ja odpowiedziałam, że jestem już po dwóch latach medycyny i zaczęłam wypytywać się trochę o moją przyszłą uczelnię. Powiedzieli mi, że Uniwersytet działa, medycyna również funkcjonuje. Zapytałam kto tam rządzi, a oni wszystko mi wyjaśnili, wytłumaczyli gdzie znajdują się poszczególne budynki i pokazali mi je na planie Lwowa. Zapytałam też o akademik, oni powiedzieli, że akademik jest duży, niedaleko tych budynków, chociaż zajęcia nie odbywają się w jednym budynku np. biologia odbywała się zupełnie gdzie indziej niż anatomia. Położyli mnie spać i obudzili rano, ponieważ spałam tej nocy bardzo twardo. Zapraszali mnie na obiad, ale nie mogłam nadużywać ich gościnności. Podziękowałam im za gościnę, a pan Baczyński powiedział mi: „To była odwaga o tej porze przyjeżdżać”. Odpowiedziałam, że miałam taki pociąg i myślałam, że będę we Lwowie rano lub przed południem, ale tak długo jechałam.

MŁM: Jak rozpoczęła Pani studia?

TZ: Poszłam porozmawiać z dziekanem, który okazał się bardzo młodym człowiekiem¹⁵. Dowiedziałam się od państwa Baczyńskich, że jest to lekarz wykształcony we Lwowie oraz że jest bardzo

¹⁵ Bolesław Jałowy (1906–1943) – polski histolog i dermatolog, profesor nadzwyczajny Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, w latach 1939–1941 w czasie okupacji sowieckiej dziekan Wydziału Lekarskiego. Zamordowany na ulicy Telatyńskiej we Lwowie 1 października 1943 r. przez Organizację Ukraińskich Nacjonalistów w odwecie za zlikwidowanie przez Kedyw ukraińskiego profesora Andrija Łastoweckiego.

porządnym człowiekiem. Rzeczywiście – to co mówili okazało się prawdą. Na dowód tego, że jestem studentką miałam legitymację, gdzie był zaznaczony pierwszy i drugi rok, ale nie było żadnego dowodu, że ja zdałam chociaż jeden egzamin. Powiedział mi, że muszę zdać pięć egzaminów, które zdawałam już swego czasu w Poznaniu. Do tego czasu pozwolił, abym chodziła na wszelkie zajęcia, nawet na bakteriologię i anatomię patologiczną. Dziekan powiedział mi: „Warto żebyś chodziła, ale legitymację studencką naszego wydziału dostaniesz, jeśli do 23 grudnia zdasz egzaminy”. Wniosłam oczy, na co on mówi: „Ale przecież mówisz, że zdałaś te egzaminy”. Ja mówię: „Tak, zdałam, ale to co innego jest zdać, a po kilku miesiącach znowu przystępować do egzaminu”. Ale to był warunek podjęcia studiów na kolejnym roku, więc musiałam przystąpić do tych egzaminów. Zapytałam się jeszcze o akademik, ponieważ nie miałam nikogo we Lwowie u kogo mogłabym zamieszkać. Dziekan powiedział mi, że są miejsca i zostaną w akademiku przyjęta. Dał mi jakieś zaświadczenie, że mogę mieszkać i na tym rozmowa się skończyła. Pierwszym wykładem na Uniwersytecie lwowskim, którego wysłuchałam był wykład z anatomii patologicznej pana profesora Nowickiego¹⁶. Pan profesor wspaniale mówił, a ja rozplakałam się, kiedy usłyszałam polski wykład, polskiego profesora na polskim uniwersytecie¹⁷. Wykład był na dużej sali z katedrą, przy której stał pan profesor. Zaskoczyło mnie, że sala była bardzo pusta. Wykładu słuchało nas kilkadziesiąt – może 30, może 40 osób. Chłopaków było jak na lekarstwo – zaledwie kilkunastu. Rozglądałam się po tym pomieszczeniu myśląc: „Gdzie ci studenci?”. Byłam zdziwiona, ponieważ w tamtych czasach na medycynie było zawsze więcej chłopaków niż dziewcząt. Ci chłopcy, którzy byli obecni na wykładzie, to w większej mierze byli Ukraińcy, którzy studiowali tutaj już przed wojną, oczywiście bez żadnych przeszkód. Później dziewczyny wyjaśniły mi, że chłopcy zebrali się i na różne sposoby przedostawali się przez Węgry walczyć o Polskę. Dosyć szybko się zdomowiłam – jedna z dziewczyn pożyczyla mi

¹⁶ Witold Walerian Nowicki (1878–1941) – lekarz, w latach 1923–1924 i 1939 dziekan Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie. W czasie sowieckiej okupacji radny miasta Lwowa. Zamordowany przez Niemców w nocy z 3 na 4 lipca 1941 r. wraz z innymi profesorami lwowskich uczelni na Wzgórzach Wuleckich.

¹⁷ Użyte w sposób dobitny określenie polski uniwersytet użyte zostało w kontekście niuznawania zarządzeń sowieckich.

książkę od fizjologii. Na bakteriologii dostałam mikroskop, którego otrzymanie musiałam pokwitować. Zaczęłam też intensywnie przygotowywać się do egzaminów. Pierwszym egzaminem, jaki musiałam zdać był egzamin z histologii, który w Poznaniu przełożyłam na wrzesień. We Lwowie histologię wykładał profesor Jałowy, o którym twierdzono, że jest najmłodszym profesorem medycyny w Polsce. To mogła być prawda, ponieważ miał 37 lat¹⁸, więc był jeszcze młodym człowiekiem, do tego bardzo przystojnym. Poszłam do Zakładu Histologii, w którym odbywał się egzamin polegający m.in. na tym, że pod mikroskopem należało oglądać preparaty i wiedzieć, jakie to są tkanki i jakie komórki. Jeszcze przed egzaminem nawiązałam kontakt z pedlem pracującym w Zakładzie. Był dla mnie bardzo uprzejmy i kiedy powiedziałam mu, że mam egzamin stwierdził, że powinnam przychodzić oglądać preparaty kilka razy, ponieważ raz absolutnie nie wystarczy. Na egzaminie otrzymałam ocenę celującą – nic dziwnego, ponieważ egzamin ten miałam zdawać w Poznaniu we wrześniu, więc uczyłam się do niego przez wakacje i byłam bardzo dobrze przygotowana. Sam profesor Jałowy był bardzo sympatyczny. Zapytał się skąd przyjechałam, gdzie studiowałam i u kogo zdawałam histologię. Wy tłumaczyłam mu, że przed wakacjami nie zdawałam tego egzaminu, ale powiedziałam kto wykładał i kto prowadził ćwiczenia. Powiedział mi, że „Poznań może być dumny, że ma takie studentki”. Byłam oczywiście bardzo zadowolona i uśmiechnięta. Pochwaliłam także tego pedla, który umożliwił mi oglądanie preparatów i przygotowanie się do egzaminu. Profesor skwitował to słowami: „Tak powinno być”. Kolejnym egzaminem, który zdawałam był egzamin z chemii, a później z anatomii. Egzamin przeprowadzał profesor już starszy i poruszający się na wózku, nie pamiętam jego nazwiska... Być może nazywał się Markowski¹⁹. Pamiętam, że Zakład był w podziemiach, schodziło się do niego po schodkach i było w nim dość ponuro. Było zimno, ponieważ to już był listopad, a ja byłam lekko ubrana, ale przecież nie pójdę na egzamin w futerku. Nie miałam fartucha jak inni studenci, ale poprosiłam i dali mi go. Za mną do sali wszedł jakiś chłopak, który również zdawał egzamin. Nie była to dla

¹⁸ W 1939 r. profesor Bolesław Jałowy miał 33 lata.

¹⁹ Józef Antoni Markowski (1874–1947) – polski anatom i antropolog, profesor zwyczajny na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie.

niego poprawka, ale pierwsze podejście. Egzaminu z anatomii również byłam pewna, ponieważ w Poznaniu anatomię wykładał profesor Różycki²⁰ – doskonały wykładowca oraz znawca i miłośnik sztuki, głównie malarstwa. Na jego wykładach wisiał zawsze obraz Rembrandta *Sekcja*.

Pomimo tego, że anatomii byłam pewna i do egzaminu podeszłam spokojnie dostałam bardzo trudne preparaty do omówienia, a mianowicie ramię w dole pachowym. A tam jest to, co kto zechce: naczynia, nerwy żyłne i inne. Poszło mi jednak bardzo dobrze. Jako drugi preparat otrzymałam czaszkę i ucho i tu mi aż tak dobrze nie poszło, ale otrzymałam ocenę bardzo dobrą. Profesor nie zwolnił mnie jeszcze, ale w mojej obecności zaczął przepytawać tego młodego studenta, który wszedł ze mną na egzamin. On dostał łatwiejszy preparat, ale przy odpowiedzi stękał, profesor musiał mu podpowiadać. Po chwili podziękował mu i powiedział: „Czy ci nie wstyd? Zobacz, dziewczyna przyjeżdża aż z Poznania i tak odpowiada, sam słyszałeś, a ty mój student w ogóle ani me, ani be, mam cię oblać?”. Ale go nie oblał. Kolejnym przedmiotem była fizjologia, której się bałam, ponieważ był to bardzo trudny przedmiot, w dodatku we Lwowie wykładany był przez profesora²¹, którego studenci wręcz nie znosili. Na początku roku akademickiego studenci rzucali w niego pomidorami, nawet jajkami – aż tak go nienawidzili! Od koleżanek we Lwowie nasłuchiwałam się o nim dużo złych rzeczy. Mówiły, że to był dziwak i np. oblewa kolejno wszystkie dziewczyny bez względu na to jak odpowiadają albo wszystkich chłopaków. Zatem na egzamin szłam ze strachem, ale bałam się nie tylko profesora. Otóż na fizjologii wykonywać trzeba doświadczenia np. przewodzenie elektryczności. I w tym celu należało wyjąć ze słoja żabę i uśmiercić ją jednym ruchem przecinając kręgosłup tuż za głową. W Poznaniu zajęcia te odbywały się w grupach pięcioosobowych i ja byłam w grupie, w której było czterech chłopaków, więc to zawsze oni wyjmowali i zabijali tę żabę, a tutaj już sama myśl, że ja mam włożyć rękę do słoja gdzie jest kilka

²⁰ Stefan Franciszek Różycki (1886–1953) – polski anatom, profesor Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznania, wykładowca Uniwersytetu Warszawskiego i Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie.

²¹ Mieczysław Wierzuchowski (1895–1967) – polski fizjolog, profesor Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, w latach 1945–1951 kierownik Katedry Fizjologii Wydziału Medycznego Uniwersytetu Łódzkiego.

tych żab napawała mnie strachem i obrzydzeniem. O pomoc poprosiłam znów tego pedla. Powiedziałam, że nigdy nie wyjmowałam żaby, a on zaproponował, że mi ją wyciągnie. Profesora przy tym nie było. Podczas egzaminu pan profesor siedział zawsze – najpierw mówiono mi o tym, a później kiedy zdawałam to się potwierdziło – siedział tyłem do okna, natomiast student naprzeciw niego, więc student był w świetle i nie widział prawie twarzy profesora. W czasie egzaminu robił miny, ale te miny rozśmieszały mnie i być może dzięki temu byłam bardziej rozluźniona. W każdym razie zdałam ten egzamin.

Do zdania pozostała mi jeszcze biologia, którą specjalnie zostawiłam sobie na sam koniec. Czasu na naukę miałam już niewiele, ponieważ tylko cztery dni. W tym czasie do Lwowa przyjechała nieoczekiwanie Dwidka. Spała razem ze mną na łóżku w akademiku. Oczywiście nie przespałyśmy nocy, a bez przerwy rozmawiałyśmy, więc zabrała mi dzień nauki. To był 21 grudnia, a ja powiedziałam Dwidce, że jutro wybierzemy się do domu. Dwidka zdziwiła się i zapytała: „Ale przecież mówiłaś, że 23, dzień przed wigilią masz egzamin, więc jak pojedziemy?”. Powiedziałam jej, że owszem mam egzamin, ale kompletnie nic nie umiem, ponieważ w Poznaniu biologię wykładał profesor hrabia Edward Lubicz-Niezabitowski²², a pan hrabia Lubicz-Niezabitowski był wspaiałym człowiekiem – na każdym wykładzie dostawał oklaski, był podróżnikiem, gawędziarzem, znanym już jako biolog. Był wysoki, szczupły i zawsze nosił koszulę z guzikami, gdzie w brzezi wpięty był orzełek, do tego wąski krawat. Często na wykładach się śmiał, a my razem z nim. Opowiadał nam na wykładach np. jak szybko się mnożą muchy wyjaśniając, że w ciągu kilku godzin mucha ułożona przy musze opasze równik, ale mówił też oczywiście poważniejsze rzeczy. Profesor nie wykładał podstaw biologii, co robiono we Lwowie, czyli prawa Mendla itd. i my w Poznaniu nie mieliśmy o tym pojęcia. Na egzaminie profesor pytał tylko z parazytologii, czyli o owady i zwierzęta roznoszące choroby. Konikiem pana profesora była malaria i podczas egzaminu każdego pytał o malarię, toteż wystarczyło się dobrze nauczyć o tej malarii i zdawało się egzamin. Nie zdać egzaminu prawie się nie zdarzało, a nawet jeśli już ktoś poszedł na egzamin bezczelnie i nawet o malarii

²² Hrabia Edward Lubicz-Niezabitowski (1874–1958) – polski zoolog i lekarz, w latach 1928–1929 rektor Uniwersytetu Poznańskiego.

nie umiał nic powiedzieć, to profesor zadawał jeszcze drugie, trzecie pytanie i stawiał dostateczny. Dzidka powiedziała mi: „Ale Tuśka, idź na egzamin, zobacz jak pyta, poza tym masz umówiony termin, profesor przyjdzie, a ciebie nie będzie – od razu będziesz miała krechę”. Poszłam. Egzamin ten pamiętam do dziś. Był grudniowy ponury i chłodny poranek, prószył śnieg, nie było jednak białe, tylko strasznie szaro. Zakład Biologii był obok kościoła. Poszłam wcześniej i przed egzaminem na moment weszłam do kościoła. Po wejściu do Zakładu zaczęły się straszne wrażenia: korytarz był długi, a oświetlenie zawieszane dość wysoko było bardzo marne. Przyjął mnie jakiś pracownik Zakładu, dał mi krzesło i prosząc, abym usiadła i poczekala poinformował, że profesor przychodzi przed ósmą, więc będzie niedługo. Usiadłam. Na korytarzu ponuro, ciemno i bardzo zimno – ja dosłownie trzęsłam się siedząc na tym krześle nie tylko z zimna, ale też z nerwów, bo wiedziałam, że nic nie umiem, a nigdy przedtem nie szłam na egzamin nieprzygotowana. Siedzę i w pewnym momencie korytarzem przeszedł mężczyzna z odsłoniętą ręką, na której zobaczyłam klatki pełne wszy. Wiedziałam o tym, że takie badania przeprowadza się w tym Zakładzie, bo profesor Weigl²³, u którego miałam zdawać, miał już europejską sławę, ale zobaczyć kłębiące się wszy na rękach przy takim nastroju to było okropne! Za chwilę przeszedł drugi mężczyzna ze wszami na rękach. Ja już miałam dosyć, ale czekałam. Profesor przyszedł – był wysoki, szczupły, bardzo przystojny z taką charakterystyczną bródką. Zaprosił mnie, otworzył drzwi, wpuścił do środka i pomógł zdjąć futro. W gabinecie profesora po wyjściu z tego korytarza wydawało mi się bardzo jasno. W rogu znajdował się stół na odzienie, gdzie profesor powiesił moje futerko i swój płaszcz, oprócz tego okrągły stolik i dwa krzesła po obu stronach. Pan profesor był bardzo uprzejmy, prawie gościnny. Wychylił się zza drzwi mówiąc: „Dwie herbaty proszę”. Po chwili jakaś dziewczyna przyniosła nam herbatę. Profesor zwrócił się do mnie mówiąc: „Musimy się napić herbaty, ten dzień taki zimny i ponury”, po czym zaczął „przesłuchanie”, ale jeszcze nie egzamin. Powiedział: „Będę mówił na ty, zgadza się pani?”. Zgodziłam się, a wtedy profesor Weigl zapytał się

²³ Rudolf Weigl (1883–1957) – polski biolog, wynalazca szczepionki przeciw tyfusowi plamistemu, profesor Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, w latach niemieckiej okupacji kierownik Instytutu Badań nad Tyfusem Plamistym i Wirusami.

skąd przyjechałam i gdzie mieszkalam. Kiedy usłyszał, że mieszkalam w Brześciu, a studiowałam w Poznaniu powiedział: „To mieszkalaś w Brześciu, studiowałaś w Poznaniu, a przyjechałaś do Lwowa? To ty taka podróżniczka jesteś”. Uśmiechnęłam się wyjaśniając, że do Poznania pojechałam studiować ze względów rodzinnych, natomiast teraz został tylko Lwów. Sam sposób bycia profesora, jego pytania, uśmiech nieco mnie rozluźniły, ale nadal byłam trochę spięta. Nagle profesor zapytał: „A kto w Poznaniu wykładał biologię?”. Odpowiedziałam, że profesor hrabia Edward Lubicz-Niezabitowski, nie pomijając jego szlacheckiego tytułu. „A! Profesor Niezabitowski – powiedział profesor Weigl i spytał – a kto jeszcze? Czy profesor Wrzosek wykładał?” Odpowiedział, że tak i był bardzo przez nas lubiany. Wykładał historię medycyny. Profesor zapytał, czy wiem co się teraz z nim dzieje. Odpowiedziałam, że nie mam pojęcia, po czym profesor powiedział: „Ja znam profesora Niezabitowskiego. Jaki to jest wspaniały człowiek, ja wiem, że jest takim gawędziarzem, szalenie sympatyczny, a poza tym jest znany, bo brał udział w wyprawie”. O moim profesorze, profesor Weigl mówił chyba z 5 minut, także był to czas, aby rozgrzać się herbatą i nieco się odprężyć. W końcu profesor zapytał mnie, czy zdawałam już biologię, a kiedy odpowiedziałam twierdząco zapytał: „A u profesora jaki otrzymałaś stopień?”. Wtedy nerwowo przełknęłam ślinę, bo sobie pomyślałam: „Boże, tam dostałam celujący, a tutaj nic nie umiem, a przecież nie będę profesorowi tłumaczyła, że w Poznaniu obowiązywała tylko parazytologia”. Odpowiedziałam, jakby zawstydzona, że dostałam ocenę celującą. Profesor uśmiechnął się szeroko mówiąc: „Aha... no to słuchaj, co wolisz: Czy dobry bez pytania, czy z pytaniem celujący?”. Ja słucham i uszom nie wierzę! Musiałam zrobić oczy wielgachne, a profesor uśmiechał się, prawie że miał ochotę się śmiać i powiedział: „To dziękuję ci”. Odparłam: „To ja dziękuję panie profesorze”. Zapytał jeszcze: „To jakie jeszcze masz egzaminy?” Odpowiedziałam: „Dzisiaj to był już ostatni egzamin, a po pierwszym stycznia zostanę studentką trzeciego roku, bo wszystkie zdałam”. Odparł: „No to dzielna jesteś, życzę powodzenia, do widzenia”. Wybiegłam z tego Zakładu i do akademika biegłam w podskokach.

MŁM: Czy na Wydziale Medycznym prowadzone były zajęcia agitacyjne?

TZ: Nie, nie było zajęć agitacyjnych. Wykłady prowadzone były po polsku, zakłady były prowadzone przez polskich profesorów, docentów, laborantów, więc nie czuło się, że to jest sowiecki uniwersytet, z tym że dziekan czy urzędniczka w dziekanacie byli Ukraińcami. Był jednak taki kącik na korytarzu za dziekanatem i szatnią gdzie stał stolik wyłożony czerwonym sukniem i tam były różne broszury agitacyjne, jakieś książki i tam podobno w czasie różnych uroczystości coś się działo. Studenci nazywali to „czerwonym kącikiem”. Jak Pan o to pyta to przypomina mi się, że do Lwowa przyjechała moja dawna przyjaciółka Marysia Wołoszynówna z mężem, którego poznała na studiach. On nazywał się Juliusz Borejko i później po wojnie był profesorem radiologii w Warszawie w Klinice Radiologii na Lindleya. Zamieszkali w akademiku, gdzie były także pokoje dla małżeństw. Na zajęciach dołączyli się do mnie, ponieważ nie mieli mikroskopu. Zachowanie męża Marysi nie podobało mi się od samego początku. Zawsze mikroskop brał jako pierwszy, tymczasem ja miałam pierwszeństwo. Jego sposób bycia był obcesowy i nieprzyzwoity. Marysia też w stosunku do mnie nie była taka jak dawniej. Najgorsze było jednak coś innego. Otóż zapytałam kiedyś Marysię skąd pochodzi jej mąż, czy to jest Litwin? Ona odpowiedziała, że nie i że on jest teraz bardzo Polakiem, ale ja zorientowałam się dość szybko, że jak będzie potrzeba to będzie i Ukraińcem...

MŁM: Jakie wrażenie wywarł na Pani Lwów pod okupacją sowiecką?

TZ: Ja dużo po Lwowie nie chodziłam i nawet później tak myślałam, że mieszkałam w tym mieście dwa pełne miesiące, a w ogóle go nie poznałam. Jeżeli już gdzieś szłam to z jakąś świeżo poznaną koleżanką, czasami jak miałam adres chodziłam sama. We Lwowie panowała jakaś pustka, widać było, że miasto nie żyje normalnie. Sklepy były pozamykane, przeważnie puste, a jak ktoś sklep otworzył, to ustawiały się pod nim ogromne kolejki. Czasami ktoś przybiegał i mówił, by pobiec niedaleko, bo jest otwarty sklep, kolejka i można kupić kostkę kawy, która jest słodzona i wystarczy ją tylko wrzucić na wrzątek. Tych kostek można było kupić kilka – oczywiście ograniczoną ilość. Głód był w tym Lwowie... Herbaty nie było wcale, wszystko popijało się wodą z kranu. Podstawą wyżywienia

była zupa, w której na początku pływał nawet kawałek jakiegoś mięsa. Otrzymywałam ją jako mieszkanka Domu Akademickiego. Zupa wystawiona była w wielkim kotle, do którego studenci podchodzili z własnym naczyniem. Kolejki do kotła były bardzo duże. Musiałam zdobyć jakoś naczynie, aby mieć w czym zjeść tą zupę – musiałam zdobyć, bo kupić nie było można chociaż... może można było, ale ja za mało wtedy znałam Lwów, w każdym razie zdobyłam jakoś duży kubek. Miałam co prawda ze sobą pieniądze, ale co z tego, skoro za te pieniądze nie można było niczego kupić. Niedaleko był targ, na którym można było dostać włoszczyznę, ale sprzedających było bardzo niewiele. Nie było na tych straganach owoców, przynajmniej ja nie pamiętam, żebym we Lwowie jadła owoce. Nie było cukru... W Domu Akademickim było jedno łóżko, stół i krzesło, a było nas tam siedmioro... We Lwowie było pusto i jakoś zupełnie bez życia.

MŁM: Włożyła Pani strasznie dużo wysiłku, by przygotować się i zdać pięć egzaminów. Wszystko po to, aby móc kontynuować studia. Dlaczego zdecydowała się Pani przerwać studia, opuścić Lwów i wraz z rodziną wyjechać z obszarów okupowanych przez Sowieców?

TZ: Myśl, aby wyjechać z Brześcia pojawiła się stosunkowo wcześniej, ponieważ wiedzieliśmy, że ojciec jest zagrożony, a my razem z nim, bo przecież rodziny kolejarzy też wywozili. Nasz dom był na wysokiej podmurówce, więc podłoga była wysoka. Ponadto miał piwniczkę. Ojciec brał koc, coś pod głowę i wsuwał się tam na noc w razie gdyby przyszli po niego. Później ukrywał się u różnych znajomych, ale robiło się coraz bardziej niebezpiecznie. Na Święta Wielkanocne, które przypadały wcześniej bo w marcu, przyjechałam do domu. Wtedy nie myślałam już o powrocie do Lwowa, ponieważ zrobiło się bardzo gorąco. W domu był ciągły niepokój, a każda noc mijała w strachu, że w końcu przyjdą po ojca. Chcieliśmy zatem wydostać się z Brześcia, ale jak tu uciekać? Po wpadce Lisowskich przejście przez „zieloną” granicę nie wchodziło w grę – to było zbyt niebezpieczne dla nas wszystkich. Przy końcu marca ogłoszono, że w budynku niedaleko Magistratu urzęduje mieszana komisja niemiecko-sowiecka, w której zasiada także dwóch Polaków z Warszawy. Komisja ta przybyła do Brześcia, aby spisać tych obywateli,

kórzy w czasie wojny uciekając przed Niemcami, znaleźli się za Bugiem. Z tymi ludźmi był ogromny problem, ponieważ nie mieli gdzie mieszkać i koczowali w budynku stacji. Aby dostać pozwolenie na wyjazd należało przedstawić dokumenty potwierdzające, że przed wojną przebywało się po tamtej stronie Bugu. Ojciec nie miał z tym problemu i to było najważniejsze. Moja mama pewnego dnia powiedziała nawet ojcu: „Słuchaj Staszku, masz dowód, że od marca byłeś w Jastrzębiej Górze częściowo zmobilizowany na kolei i przebywałeś tam do sierpnia. Wyjedź”. Ojciec nie wyraził zgody na pomysł mamy. Powiedział: „Jak przyjdą po mnie i mnie nie zastaną to zabiorą was. Nie, nie zostawię was tutaj”. Więc wyjechać musieliśmy razem. Ze mną także nie było problemu, bo miałam legitymację studencką Uniwersytetu Poznańskiego, ale co z mamą i Danką? Skąd dla nich wziąć papiery? Mama zaczęła grzebać w papierach i znalazła świadectwo urodzenia młodszej siostry ojca Kazimierzy Orzechowskiej, które przyjeżdżała do naszego domu. Dokument był bez fotografii, wiek się zgadzał więc mama powiedziała: „Wezmę to i może to wystarczy”. Kolejka do tej komisji była od samego rana, a oni urzędowali tylko przez dwa tygodnie. Wokół tej kolejki kręciło się mnóstwo szpicli, nawet miejscowych Białorusinów i być może Polaków. Ja Polaków sobie nie przypominam, ale ludzie mówili, że Polacy również byli konfidentami. Oni szpiclowali i donosili na takich ludzi jak my, którzy chcieli opuścić Brześć, bo nie mogli wytrzymać dłużej tej atmosfery strachu i wielkiego bezrobocia. Co prawda Sowieci urządzali przymusowe roboty, ale były one bardzo słabo płatne, więc nie można było się utrzymać. Mama najbardziej bała się, że w tej kolejce rozpozna ją, ponieważ chodziła na zakupy do sklepu czy na targ. Gdyby ją ktoś rozpoznał to Sybir pewny, o ile nie coś gorszego. To było bardzo niebezpieczne, ale mama uznała, że pozostanie w Brześciu jest jeszcze bardziej niebezpieczne i postanowiła zaryzykować. Staliśmy w tej kolejce, mama zakładała na siebie trochę za szeroki płaszcz, którego wcześniej nigdy nie nosiła, na głowę chustkę i nieco szersze okulary, by zasłonić twarz. Kolejka była zawsze długa i nie mieliśmy pewności, czy dostaniemy się do tej komisji, a każde przebywanie mamy w kolejce groziło wielkim niebezpieczeństwem. Kiedy staliśmy to znajomi uprzedzali mamę: „Pani Mario, a jak panią znajdą? Tu kręci się tyłu tych szpicli!”. Ale mama była zdeterminowana i przypomniała sobie, że na piętrze

w domu obok mieszkają jej dobrzy znajomi. Wstąpiła do nich mówiąc: „Chcę się dostać do tej komisji, a stoję już w tej kolejce od przeszło tygodnia. Nie wiem czy się nawet do niej dostanę, a coraz bardziej obawiam się, że ktoś może mnie rozpoznać”. Znajoma mamy powiedziała, że mają wolny pokój i możemy przyjść na noc przespać się, a następnego dnia rano wstaniemy wcześniej i pierwsi będziemy w kolejce. Pamiętam jak leżałyśmy z mamą na tym łóżku, ojciec obok na materacu. Ojciec sobie pochrapywał, natomiast my z mamą nie zmrúżyłyśmy oka tamtej nocy. Rano, kiedy było jeszcze ciemno, ubrałyśmy się, nie jedząc nawet śniadania i poszłyśmy, ojciec wyszedł chwilę po nas. Trafiliśmy przed oblicze komisji. W pomieszczeniu stało biurko, w środku siedział Niemiec, obok wojskowy Sowiet i jakaś trzecia osoba, chyba Polak. Mama świetnie mówiła po niemiecku, miała piękny wiedeński akcent. Podała ten dokument mówiąc: „Nie mam innego dokumentu, a to – wskazała na Dankę – to było dziecko, które w czasie wojny tu zostało przywiezione i już zostało”. Ja stałam obok, mama wyjaśniła, że jestem jej bratanicą, studentką Uniwersytetu Poznańskiego. Pokazałam legitymację. Mama dodała, że mieszkała przed wojną w Piotrkowie, a ja – jej „bratanica” studiowałam w Poznaniu. Niemiec popatrzył – „Sehr gut” powiedział i odłożył nasze papiery. Zostaliśmy zakwalifikowane. Przed wyjazdem była jeszcze kontrola celna. Naszym transportem jechała do Warszawy moja przyjaciółka Leontynka. Chciała przemycić 10 dolarów, ale przyłapali ją i zabrali jej te pieniądze, na szczęście bez konsekwencji. Nas tylko wypyтали, czy nic nie mamy. Baliśmy się trochę rewizji. Mama zabrała ze sobą tobołek z pościelą, która potem się bardzo przydała. Danką wzięła ze sobą lalkę i do tej lalki mama, odkręcając jej głowę, włożyła trochę pieniędzy. Ojciec też coś wiózł, chyba pieniądze. Miał dość dużą kolejarską torbę z zatraskiem, którą w środku wysmarował smarem. Celnicy zajrzeli do tej torby, ale kiedy poczuli, że śmierdzi, odłożyli ją dokładnie, nie rewidując. Ojciec do wagonu wsiadł osobno, dopiero kiedy pociąg ruszył przyszedł do nas. Kiedy dojechaliliśmy do Siedlec byliśmy bardzo szczęśliwi, że udało nam się wyjechać.

Bibliografia

Bartczak Zenon, *II Liceum Ogólnokształcące im. Marii Skłodowskiej-Curie w Piotrkowie Trybunalskim*, Piotrków 800, Piotrków Trybunalski 2010.

Bartczak Zenon, *Liceum Ogólnokształcące im. Bolesława Chrobrego w Piotrkowie Trybunalskim*, Piotrków 800, Piotrków Trybunalski 2005.

Muszyński Wojciech, *Mali piłsudczycy*, „Biuletyn IPN” 2008, nr 5–6 (88–89), s. 69–75.

Śleszyński Wojciech, *Zajścia antyżydowskie w Brześciu nad Bugiem 13 V 1937 r.*, Archiwum Państwowe w Białymstoku, Białystok 2004.

Wierzbicki Marek, *Polacy i Żydzi w zaborze sowieckim. Stosunki polsko-żydowskie na ziemiach północno-wschodnich II RP pod okupacją sowiecką (1939–1941)*, Fronda, Warszawa 2001.